

Takie zetknięcie z obozem, właściwie z systemem sowieckim, to było w więzieniu w Grodnie, na Listowskiego 1. Przyszedł ja tam jako żołnierz Wojska Polskiego, chodziłem w mundurze, a więc odebrano mi tylko orzełek, pas, a tak to wszystko było wojskowe. Cella była olbrzymia, na dole cement, strasznie zimno. Miejsca wszystkie zajęte i musiałem dostać sobie miejsce przy drzwiach. Czekał, kiedy kto wyjdzie czy wyniosą go, wtedy możesz zamienić się na miejsce lepsze, a tak to trzeba było po prostu wegetować normalnie. Tak leżę i widzę, że taki chłopak, może taki biedak, jak i ja, bo młody zupełnie był, szczeniak. Jego zabrali jeszcze gorzej, bo mnie zaaresztowali 27 marca. Siedziałem wpierw jeszcze na Howera, jest tam piwnica Służby bezpieczeństwa, a potem mnie przeniesiono do tego więzienia ogólnego na Listowskiego. Ale ja byłem chociaż w płaszczu, a to 27 marzec ! U nas w Grodnie co prawda jest już ciepło o tej porze roku, w marcu, no ale nie tak ciepło, żeby na cemencie, na betonie, zimnym jak ...Bo to u góry to może jeszcze tam ciepło trochę, ale na dole to było strasznie kiepsko. A on zupełnie w jednej koszulinie siedzi. I wszyscy ludzie siedzą, patrzą na niego. Każdy, żeby mógł, to jeszcze by z drugiego zdarł. A to zdawało się, że wszyscy w jakiś sposób są pobratymcami po celi, ten sam los ich spotkał. Tam nie było współczucia, nie było serca. To pierwsze, co mnie strasznie uderzyło, że ci, którzy razem walczyli może, którzy razem nieszczęścia przechodzili, stali się sobie obcymi zupełnie, tak, jakby to siebie nie znali.

Tam mnie nie mogli sądzić ani śledztwa prowadzić, dlatego, że ze mną w mieszkaniu razem, na Lipowej, mieszkał rezydent sowieckiego zwiadu na Grodno, bywający politruk, z żoną i z dziećmi. I wszyscy ci szpicle sowieckie, partyzanckie, którzy byli na Grodno, zbierali się u niego, i trudno na przykład, ja siedzę w kuchni, a on przez kuchnię musi przechodzić, żeby on mnie nie widział i nie znał. I potem, kiedy służba bezpieczeństwa

się tworzyła w Grodnie, to przeważnie wszyscy ci ludzie weszli jako oficerowie, cały organ się stworzył z nich. No i była głupia sytuacja. A ten, który ze mną mieszkał, był kierownikiem oddziału. To się wytworzył taki jakiś galimatias w tych głowach sowieckich i mówi: "słuchaj, każdy będzie tendencyjny wobec niego", bo on z moich informacji też często korzystał, co się u mnie działo, i on używał moich informacji, swoim oddziałom przekazywał. I mnie odesłano do więzienia w Mińsku. Nas załadowano do "stołypina". To takie wagony, gdzie w jednym przedziale potrafią więcej ludzi upchać niż - trudno nawet powiedzieć, tam i przeszło kilkudziesięciu ludzi można wsadzić. A to przecież jeden przedział. Jakiś specjalny gatunek pluskiew mają oni. Są strasznie płaskie, jakies takie szerokie, rozległe te pluskwy, cholera, czasami bywają i białe, jak długo nie mają krwi, przezroczyste się robią. A pluskwa to taka swołocz, która potrafi strasznie długo żyć. I teraz - człowiek się poci, bo tam duszno, jako jedzenie dostanie śledzia solonego i suchy chleb, wodę dwa razy dziennie, no, jak dobry konwój, to może trzy razy dziennie, a to czasami raz, bo nie mają czasu - po prostu im się nie chce, co im tam. Mało - brak - powietrza, ale te pluskwy dopiero zaczynają rozkosz - ucztę Baltazara. Dopiero one konsumpcję sobie zaczynają. A śmierdzi to paskudztwo! nie z tej ziemi. To straszne. I nas 9 maja, wtedy, kiedy właśnie cały świat triumfował pobiedę nad Niemcami, nas wsadzano do "stołypina". No i Niegoriełyje - to jest poslednia stacja polska dawna, i przywieźli nas do Mińska. Podjechały samochody, chcieli nas samochodami przewieźć, ale widzę, że coś się zaczął targ jakiś między dowódcami. I nic z tego, samochody pojechały, i konwój zaczął przyjmować nas. To po prostu - wie pani, jak to wyglądało? Kupka ludzi stoi ściśnięta w gromadzie. Dookoła psy z żołnierzami. Pies od ciebie dosłownie taki kawałek, że wyraźnie słyszysz, czujesz jak sapie ci na kolana, na tyłek. To wszystko ujada. Psychicznie po prostu człowiek zastraszyć. Krzyk. Każdy krzyczy, nikt nie mówi cicho. Potem

bierze twoje akta sprawy. "Wysocki" [krzyczy] . Na to musisz od razu podejść, szybko, powiedzieć imię, nazwisko, rok urodzenia, ojca i tak dalej. Sformowali z nas taką kolumnę i pognali piechotą. A gnali to specjalnie szliśmy przez całe miasto, centralnymi ulicami nas wiedli, nie zupełnie tymi, którymi można i trzeba było, ale to była pokazówka. "Wiedut polskich faszystow !". Polskich faszystow wiedut. Psy ujadają, bagnety do przodu wyciągnięte. Widoczna była taka komedia odgrywana. A ludzie na nas pluli, rzucali kamieniami, kijami, kto co miał, trzeba było dobrze patrzeć, żeby nie oberwać. Za nami cała ferajna ludzi szła. Z okrzykami : "Ubić!" "Po co jeszcze ich wozić tutaj ! Po co prowadzić ! Ich dawno zabić!" No i wreszcie byliśmy już w celi.

Ta cela to była też taka sama niemiła. Strasznie zimne wszystkie cele, a szczególnie - mat^eraców nie ma, kołder, poduszek też nie ma. Wszystko, co masz, to jest twoje posłanie. Zdejmiesz z siebie, pościelesz pod bok, to na sobie nie masz nic. Jak naciągnął na siebie, to znowu z betonu ciągnie. Trudno było to pogodzić wszystko. Wozili nas na śledztwo do domu prawitielstwa. Wpierw się słyszało na korytarzu dzwon - "dławidudy " klucznika, potem otwierał się woronok, u gory. "Na bukwu `K`". No i ile jest na bukwu K, to każdy musi podchodzić i mówić. Jak tego chciał, co właśnie powiedział - "prigotowi'tsia". "Na bukwu `We`" - "prigotowi'tsia". Otwierali cele wyprowadzali na korytarz. Buzią do ściany, nie patrzeć, nie obracać się, bo w łeb dostaniesz. Podjeżdżał taki woronok czornyj, wsadzali nas w kajdankach, przewozili do domu prawitielstwa, no i na którym piętrze miałeś przesłuchanie, twój sledowatiel był, na to piętro cię prowadzono. Tam są takie szafki żelazne ; tu, gdzie buzia, przewiercone są takie otworki, żeby dychać. I do tej szafki żelaznej człowieka tak tyłem wpychano, nie wiem jak tych grubszych, ja byłem szczupły, to jeszcze jako - tako. Ale kolano zgiąć nie możesz, bo kolanami się oprzesz i wisisz, możesz nogi podkurczyć, jeśli chcesz

Obrócić się nie możesz specjalnie, podrapać się nie możesz, nie możesz nic. Musisz stać spokojnie i tylko oddychać. Samochody nie przyjeżdżały tak, żeby przywieźć więźniów - koniec przesłuchania i odwoziły. Nie. Po prostu samochody były wieczorem i rano. Raz cię przywieźli, drugi raz cię odwieźli. I teraz całą noc trzeba było stać w tej szafie. Czasami wzięli cię na przesłuchanie, a bywało, że i nie wzięli. Rano : " wychodzi !". Wychodziłeś z tego grobowca, do worka czarnego, przywozili z powrotem do celi, dostawałeś śniadanko swoje i spać nie wolno. Jak śpisz - do karceru. Spać nie wolno. No, czasami się udawało, bo jak cela mała, np. że on ma w zasięgu wzroku, to tam nie schowasz się. W moim przypadku było troszeczkę łatwiej, bo i ludzi było więcej, i cela była szersza. Ale bywali też cwaniacy - on po cichutku podchodził, otwierał zamek i raz! No i złapał. A na wieczór z powrotem - "na bukwu ..." I to tak szło. Czasami ciebie bili, raz lżej, raz słabiej, to zależne było od śledczego, czy był leniwy, czy nie. Jeżeli nie był leniwy, to dał ci dobrze. A jeżeli był leniwy - to mniej. Spotkałem kiedyś takiego śledczego, Biełoziorow nazwisko jego było, coś tak. Widać było, że to był bardzo pedantyczny facet. Przywieźli mnie na zapoznanie z nim. On mówi, że on dzisiaj nie będzie ze mną żadnego śledztwa miał. Popatrzał na mnie, pochodził, zapalił, poczęstował mnie papierosem, mówi : "dlaczego ty taki młody i siedzisz?". Zaśmiałem się do niego i mówię, że to naiwne pytanie, dlaczego ja siedzę, ja bym chętnie poszedł, tylko nie mam jak. "Ale - mówi -wiesz, zrozum taką rzecz, że system sowiecki musi mieć ludzi do odbudowy kraju, do przetrzymania tego, tych ciężkich chwil, które teraz są u nas. I on tych ludzi stworzy. Tymi ludźmi jesteście wy. Czy ty zgodzisz się z zarzutami, które tobie przedstawiają, czy nie zgodzisz się, ty będziesz musiał się zgodzić. A gdybyś ty przeżył - mówi - i nawet bardzo uporny był, wytrzymał to wszystko, to u nas jeszcze jest OSO."

OSO to jest Osoboje sowieszczanije. Sądz bez sądu. Piszą po prostu 5 lat. Oni nie piszą więcej, przeważnie nie pisali ; 5 lat.

In blanco, z podpisami, dwa kwity jeszcze. Wystarczy tylko, żeby naczelnik więzienia czy urcz czy uro - to jest taka administracyjno-uczotnaja ta. Srok - wyrok się pani kończy, ona wyjmuje - czy on - ten blankiet, wpisuje pani nazwisko i ciąg dalszy pani jedzie. Nie potrzeba więcej nic, żadnych sądów, żadnych trybunałów, to jest bardzo system uproszczony.

I on mówi tak : " ty na razie jeszcze jesteś zdrow, ale jeżeli ty posiedzisz tutaj, nie wiem, co z tobą będzie. Ty się zastanów, jaka ci różnica, czy będziesz siedział za OSO, czy za prawdę, czy za kłamstwo. Człowieku, ty się ratuj stąd. Obóz jest obóz. Jest praca, prawda, ciężko, źle, zimno, ale jest łóżko, jest powietrze, są warunki, a nie betony. Trochę lepsze życie."

Następnym razem on mnie zawołał, poprosił żołnierza, żeby przyniósł ze stołówki obiad. "Zjedz to". No to zjadłem. Wyjął parę paczek papieros, położył mnie, mówi : "schowaj, żeby nie znaleźli / bo tam przeszukiwali nas, jak przywozili/. Ja twoją sprawę - mówię - oddaję. Wiesz, kiedy widzę gębę, że wzbudza we mnie jakąś antypatię, nawet wiem, że niesprawiedliwie, to mnie obojętnie, ale dzieci, to ja jeszcze, cholera, nie potrafię sądzić."

Więcej go nie widziałem już. Ale to był '45 rok. Jakoś to śledztwo się skończyło, dostałem 10 lat i pojechałem do Orszy. Orsza to taki przesylny punkt, przy stacji, takie dwupiętrowe budynki. I tam był "banno - pracysznyj kombinat". Orsza była strasznie zbombardowana, zrównana z ziemią prawie. Ludzie żyli w ziemiankach. I wszyscy do tej przesyłki przychodzili się kąpać. Tam swoje usługi załatwiali - tam prali, strzygli się, golili. Tyfus w tym czasie był w Orszy, a więc musieli sanitarne obowiązki wypełniać, trzeba było golić włosy, kobietom i mężczyznom.

Jak przyjechałem tylko do Orszy, to w pierwszej kolejności szukali ludzi, którzy mogli by zaspokoić zapotrzebowanie miasta. No i dostrzegli - fryzjer. Ale niewiele się mogłem nacieszyć tym fryzjerstwem, tylko to, że nie poszedłem do celi, spałem w łaźni,

bo pracowało się tam od rana do rana. Od rana do rana, bo to przesylny punkt, zawsze ludzie przychodzili, odchodzili i zawsze trzeba było kogoś obrabiać. Nie miałeś co robić, kogo sztryc, to trzeba było sprzątać, trzeba było inne rzeczy robić. A naczelnikiem przesylnego punktu był taki podpułkownik Bilan, jedna z największych łachuder w systemie tej służby enkawudowskiej. On miał prawą nogę kulawą - odrąbaną piętę. On kiedyś pracował jako komendant na Białomorkanale. No i złodzieje po prostu zdecydowali uśmiercić go. I wyrok miał nastąpić przez łopatę ; ostra taka łopata, stykowa. Zamachnął się i wiatr - za szybkie uderzenie - wiatr zniósł tę łopatę. Tak, że głowy on nie urąbał mu - bo celował w głowę, ale jak raz machnął nogę, że razem z tym obcasem, odwalił mu całą piętę, uciął. A jego zastępcą był taki gruby major Pietrow. Ten Bilan już nikomu wtedy nie wierzył. To był straszny facet, wysoki, szczupły, chudy można powiedzieć. Jak wbiegał, to nie daj Boże komuś podwinąć się. On wcale się nie krępował, że był komendantem, miał przecież pacholków swoich, ludzi, którzy by wykonali każdy wyrok.

Tam mnie pierwsze nieszczęście spotkało - dostałem ostre zapalenie ściany kiszek. Po prostu wikt - żołądek nie był specjalnie przygotowany do tego. A to jest choroba strasznie męcząca. Dwa, trzy kroki i człowiek musiał kucnąć, z ust ślina ciekła, bóle straszne, no ale co się ma, to się ma. Trzeba było myśleć, jak wyleczyć się.

Był taki, nawet dość sympatyczny, starszy lekarz, Szaduro miał nazwisko. Żyd, też więzień. Przyszadłem do niego, on popatrzył i mówi : "ty wiesz, jakie tu są warunki. Mogę cię wziąć do szpitala, ale my nie wyleczymy tego przypadku. Nie ma lekarstw, nie ma nic. W o g ó l e nie ma nic. My nie wyleczymy ". Ja na to : " jedną mam do ciebie prośbę : niech z kuchni szpitalnej /szpitala obozowego/ dają mi kubeczek wody od gotowania kaszy gryczanej albo ryżu ". I on pogadał z kucharzem - był starszym lekarzem, więc miał coś do powiedzenia - i mnie dawali, rano i wieczorem. Chyba z miesiąc mnie ta dolegliwość trzymała. Każde pożywienie ogniem piekło, nie mogłem

w ogóle nic jeść. Nie było glukozy, nie było kroplówek, nie było nic. Był człowiek i jego kłopot. I ja uratowałem się właśnie tym wywarem, kleikiem. Po pewnym czasie zobaczyłem, że przestaje mnie boleć, jak jem ; i tak mi to przeszło. A jak tylko zobaczyli, że już lżej ze mną - tam też nie chcą mieć takich ludzi u siebie - to pierwszym etapem odprawiono nas do Wołogodskiej obłasti. Wsadzono nas do cielętników - "tielatniki", zwykłe wagony, nawet nar nie dali. Nas co prawda niewiele wieźli, można było jakoś pogodzić się i pomieścić na podłodze. Po środku taki piecyk malutki był, parę polanek albo tobie rzucili, albo nie. Za Moskwą niektórych ludzi zabrali w drugie miejsce, nas spędzili w inne wagony, tam były już nary. I znowu te same malutkie piecyki. Strasznie zimno było, cholera. Parę polanek rzucają, no czym tam nagrzejesz ? Ten piecyk ma rurę bezpośrednią ; żeby miał zakręconą, to by może trochę ciepła było, a to jest prosty taki wylot ! Fru ! i poleciało - do Pana Boga. Zaczęliśmy palić deski z nar. Na zmianę , dwójkami się siedziało przy piecu ; rozerwaliśmy blaszaną gardziel piecyka, dwie deski trzymało się tak, żeby nie były spłaszczone razem, ale żeby między nimi była przestrzeń, żeby się paliło. Jeden koniec desek w piecyku, drugi na plecach /rąbać desek nie ma jak/. Jak my byli zmęczeni, to inni siadali i trzymali, no i jakoś tak jechaliśmy.

Przyjechaliśmy do jakiejś miejscowości - niedaleko Wielikij Ustiug jest, słynne miasto zakonników. Tam spotykają się Siewiernaja D`wina, Suchona i Zapad-D`wina. Tam wyrabiają najlepsze koronki, emalię czarną, wyroby posrebrzane - na całą Rosję.

Zatrzymali nasz pociąg w szczerym polu, a była już piekielna zima. Było zimno jak jasna cholera, prosto nie do opisania. Tym bardziej, że ja dopiero pierwszy krok zrobiłem w tą zimę sowiecką. U nas, w Grodnie, to zima była NASZA, bardziej ludzka dla nas, a i dom był, to zawsze człowiek nie siedział tak, zdany na łaskę - niełaskę. Wagon nasz odczepili, zostawili, a pociąg cały pojechał. Mróz - chyba z 50 stopni. Przychodzi naczelnik - a on w butach, też nie był przygotowany. walców nie miał. a tylko takie łachy na

buty, rękawy naciągnięte - i mówi tak : " My nie mamy już wyboru, przyjechaliśmy na swoje miejsce przeznaczenia, ale dzisiaj nam nie przysłała samochodów, które miały was zawieźć do Wielkiego Uściugu. Parę kilometrów stąd jest chata, tam pójdziemy, przenocujemy i poczekamy na samochody. Niech każdy zatroszczy się o siebie."

A my w buciczkach. No gdzie ? A śnieg, a tu pole szczerne. No gdzie ja , cholera, dobiegnę do tej chaty ? A jej nie widać. To każdy rękawy urywał tego, co miał, nakładał na nogi, zawiązywał u dołu, u góry, żeby tylko ochronić nogi - bo mogą nie donieść.

Konwój on rozstawił luźno zupełnie. Gdzie i co ? Tam wszyscy muszą się ratować. Mówi : "No, teraz biegiem !" I biegliśmy. Żołnierze biegli sami ze sobą , po bokach, i my kupą. No i rzeczywiście te parę kilometrów trzeba było przebiec ; zobaczyliśmy chatę. Stuka on w drzwi, otwierają, mówi : "wejść nam". A ona - "ale dokąd, ludzie? Dokąd wejść?" - "A co, mają zamarznąć tutaj? Jakoś przenocują w chacie."

Jedna izba. W sieni stoi krowa i dwa baraszki /barany/. W chacie leży prosię ze świnią. W chacie ! Na podłodze - klepisko. Ruski piec - tu się gotuje, tam się śpi i suszy ziarno, a pod spodem jest "kotuch", tam kury, gęsi, kaczki siedziały. Jak my weszli w tą jedną izbę, to starczyło nam miejsca, żeby usiąść - ale w cieple. Tak myśmy tam przesiedzieli noc, rano przyjechały po nas samochody. Załadowali nas do ciężarówek, zmarzniętych przywieźli do Wielkiego Uściugu. Posadzili nas do magazynu - nie wiem - składu czegoś. Kraty, malutkie okienka, kraty, zimno !Matko Boska, jak wszędzie. Nie było ratunku. Dali nam ciepłej strawy, chleb i dali nam walonki. Pierwszy raz w życiu dostałem walonki !Każdy z nas. Jeden mówi : "słuchaj, musimy brać te największe, żeby można było szmaty nakręcić i jeszcze wsadzić." Patrzyliśmy na te walonki - jak w nich chodzić, kto to wie, nikt nie próbował. Nałożyliśmy ; to tak, jakby jakieś sprężyny, podrzucało - jak czasami człowiek nowe buty dostanie i nodeszew jest twarda, to tak podrzuca, tak samo te walonki. Ale co już ważne było,

że w walonkach było ciepło. Dali nam gorącej strawy. Jak dawali zawsze chleb, to tym chlebem mogłeś zabić jak buławą, bo był zmarznięty zupełnie. On siekierą rąbał czy piłował ten chleb, nie wiem. Po prostu bryła lodu. A tu dali ciepłe coś ; odżyliśmy.

Za parę dni nas wsadzili do samochodów i powieźli. Taka wieś - Pryłuki, ja wiem ? 60 km od Uściuga. Na rzekę Suchonę - ona do Białego Morza leci. Myśmy mieli robić "platynę" - zaporę wodną. To była ciernista droga.

Taczki oni robią strasznie prymitywne, cały ciężar jest na ręku. Zdawałoby się, jeśli by koło stało po środku, to odrobinę tego ciężaru na kole spoczywa, a tak to ono jest wysunięte dō przodu. Ja nie wiem, chyba specjalnie tak zaprojektowali, żeby człowiek czuł, co nosi i - lubił to, co robi. Trzeba było chyba z 250 metrów tymi taczkami wozić po ustawionych deskach, usypywać "dambę". Inni znowu kamienie na tych taczkach wozili. Cieśle robili takie komory z belek, to na cumie trzymało się, woda przeciekała i nie znosiła i to się zasypywało. I tak segment po segmentcie, segment po segmentcie myśmy tę zaporę wodną robili.

Kobiety były razem, z nami. Ale tam życie było okropne. Wtedy życie ludzkie w ogóle nie liczyło się. To był 47 rok. Księżniczka chętnie by poszła z tobą do łóżka, byle tylko pajkę chleba dostać. W obozie mieli może chleb nawet lepszy, jak na wolności. Śmieszne. Człowiek, który pracował w obozie, miał mało chleba, ale go miał. Bo państwo przyjęło obowiązek na siebie tobie dać. A na wolności państwo przed tobą nie miało obowiązków. Ty miałaś sam się starać i dziękować, że państwo daje ci żyć i wolną rękę - zdobądź sobie! Jak chcesz ! I może w tych sprawach - w tym czasie - nie wiem, może myśmy i mieli trochę lepiej od tych wolnych. Takie było życie - myśmy nie mieli możliwości, a oni byli wolni.

Życie w obozie to było jak zabawka - nic nie warte. Mogłeś zabić, kogo chciałeś. Mogli ciebie zabić. Tylko nie wolno było skaleczyć. Bo wtedy człowiek nie zdolny do pracy, a je. A martwy - no jaka różnica ? Jeden więcej, jeden mniej. Tam nikt się specjalnie

nie troszczył.

Ja bym mógł dziesiątki przykładów i przypadków powiedzieć, co się działo z tymi ludźmi, ale mnie się zdaje - to nie ma sensu. Po prostu wiadomo było, że to bez nazwisk. Ale chciałbym powiedzieć taki przypadek. W Gruzji, w Armenii mieszkają Czeczeny, Ingusty, Lizginy, Kabardyncy, bardzo wiele narodowości ; zajmują się przemytem. Ich nazywają "basmaczi". Naczelnikiem sanczasti w Pryłukach /Priłuki czy Poćma / był taki Kostenko. Tych basmaczy przywieźli cały eszałon. Każdy z nich, zgodnie z religią, ma "kowryk" - dywanik. Jak przychodzi czas Allachu podziękować, to go rozściela, klęka i modli się . Każdy ma papachę - czapę z karakułów, bezrękawkę z karakułów, buty - "iczigi" , z najlepszej skóry. Ci ludzie z ciepłego przyszli od razu w zimne i kiepsko znosili ten klimat. Jak każdy człowiek myślący, tak i oni - szukali ratunku w sanczasti. Żeby ciebie skierowali do szpitala, to ty musisz coś dać. Jak popadłeś do szpitala, to mówili tak : "zabierz wszystkie swoje rzeczy i oddaj do "kaptiorki" - do przechowalni. Potem tobie dają "lekarstwo", z którym chorujesz na czerwonkę, po paru dniach masz "ponos" - rozwolnienie krwawe i umierasz. I basmacza niet. Pozostały tylko jego rzeczy. Tak załatwiali lekarze, tak leczyli. Biada temu, kto miał coś ; biada temu, kto nic nie miał. Ale nic nie miałeś - to miałeś chociaż zdrowie jakie - takie. A miałeś coś, to tak ciebie załatwili, że i ciebie nie było. To straszne oskarżenie dla lekarzy, ale taka była prawda. Nikt do tego się nie przyzna.

No a ja miałem znowu takiego pecha, że dostałem drugą chorobę - ostre zapalenie korzonków. Miałem stałą gorączkę i nie mogłem nawet pomyśleć, że chcę się przekręcić, mnie od razu biło, jakby igłę mi ktoś wsadził. Nie mogłem wstać, nie mogłem nic.

Mieszkaliśmy w takich długich ziemiankach, na pół w ziemi, tylko dach wystawał, też przysypany ziemią. Po środku był długi piec, jak szafa, z grubej blachy ; wiecznie się palił. Podrzucało się całe grube bele i buszowało. Tajga wokoło, to drzewa nie brakło. Jak przy prowadzili mnie z pracy, postawili mi koledzy ławkę przy tym piecu,

położyłem się i tak leżałem trzy miesiące. Nie przyjmowałem le-
karstw : przychodził lekarz, popatrzał na mnie, tabletek jego nie
przyjmowałem żadnych, bo ja nie ufałem temu człowiekowi. I zostałem już
spisany - były takie baraki "dochodiagów". Dystrofia - zupełne wynisz-
czenie organizmu. Ci ludzie -"połstacjonary"- byli spisywani i w ba-
rakach dochodiagów czekali na wyrok. Nie to, że ich ktoś zabijał,
tylko los przychodził i kładł rękę. wyzwalał ich z tego baraku. I ja
liczyłem się już za tamtym barakiem, już mnie nie było. Ale jak raz
tak się stało, że kiedy już mnie siły opuszczały, myślałem, że wyzio-
nę ducha, choroba ustąpiła.

Po paru dniach, kiedy doszedłem troszeczkę do zdrowia, do
sił - nie chciałem nawet mówić tego, co zrobiłem. Poszedłem w nocy
do tych lekarzy i po prostu niektóre rzeczy im pozabierałem ; potem
je sprzedałem, by do zdrowia dojść.

Jak zobaczyli, że ja dochodzę, zaczynam się ruszać,
jak tylko troszeczkę nabrałem ciała - a w obozie trudno dojść do zdro-
wia, nie ma na czym. Jeszcze jeżeli ma się kolegów... Nasze koleżeńst-
wo, nasza przyjaźń była zawarta w tym - nie ma bezinteresownej przy-
jaźni w obozie - że my staliśmy jeden za drugim. Jeżeli ze mną źle,
to on mną się opiekował, bo wiedział, że jeżeli z nim będzie źle -
ja się nim zaopiekuję, nie pozwolę, żeby go skrzywdzono. A więc też
nie była to taka przyjaźń od serca, ale miała swój "rozszcót" -
każdy wiedział, do czego kto jest zdolny, czy ja mogę
liczyć na ciebie, czy nie mogę, czy ty się boisz rękę wyciągnąć, czy
się nie boisz. Każdy musiał - tak jak mnie bronili oni, tak oni wie-
dzieli, że ja ich też obronię. /Pytanie : czy to byli Polacy? -
odpowiedź : to nie byli Polacy, ale ja bvm nie chciałem mówić/.

Jak tylko nabrałem trochę ciała, to mój szanowny lekarz wy-
korzystał pierwszą okoliczność i wypchnął mnie w świat. A więc znowu:
"stołypin", kochane pluskwy i tym razem wylądowałem na Uralu.

Na Uralu, koło Kisztymu, Tatysza. Ja wyładowałem w sercu tego przedsiębiorstwa - przy Okrągłym Jeziorze. To była pierwsza sowiecka fabryka atomu; wodę ciężką produkowali. Tam były zupełnie inne warunki. Tam były trzy strefy : strefa dookoła przy Okrągłym Jeziorze, druga strefa to był Tatysz - całe miasto w strefie, trzecia strefa to Kisztym. Żeby pojechać do Kisztyma, to jest 100 km, trzeba mieć wyraźną zgodę ministra spraw wewnętrznych, w tym przypadku Krugłowa. Był tu telefon bezpośredni do Krugłowa ; stał na stole. On był szefem całego tego przedsiębiorstwa.

Tam zatrudniali bardzo dużo Niemców. Każdy Niemiec - partyjny - jeździł od budowy do budowy, pod konwojem, w zamknięciu. Oni zarabiali straszne sumy pieniędzy ; nie wiedzieli, co to jest bieda - chyba to, że byli wiecznie zamknięci, chociaż żyli wolno.

Niemcy byli tam zatrudniani szczególnie jako spawacze i monterzy żelaznych korpusów - tylko te dwa zawody. Oni zakładali wysoko albo wstawiali w "czan"- ja wiem, 5 m głęboki, a średnica 5 m ; ich spuszczało i wyciągać też musieli. Oni mieli śmietanę w beczce do picia - wszystko w zakładzie pracy - każdy dzień świeżą śmietanę, może pić ile chce. Kielbasa bardzo dobra leżała - za darmo, papierosy - za darmo, i jabłka też za darmo. To wszystko ci ludzie dostawali za darmo. I beczka spirytusu stała - też za darmo, ile chciał. Więźniom, za wykonanie pracy, dawali wódkę, dawali kielbasę, tak samo jak wolnym, tylko, że tamci brali kiedy chcieli, a tu brygadzysta /majster/ przychodził i powiadał : te rury będą wymalowane / rura ma przekrój metr, trzeba włożyć w środek i ciągnąć lakierem specjalnym, na spirytusie robionym, wymazać to wszystko/ , jeśli brygada to robi, to na całą brygadę dostaniecie 5 litrów wódki, 5 kilo kielbasy, chleba i papierosów tyle paczek. To niesłychane, tego nie praktykowali nigdzie, w żadnych więzieniach.

Jak tam tylko przyjechałem, to mnie wezwał od razu operupolnomochnyj, dał mi formularz i przeczytał, że jeżeli kiedykolwiek komuś powiem, gdzie byłem, to dostanę 25 lat. Jeżeli kiedykolwiek jakikolwiek naczelnik, ze służby bezpieczeństwa czy ktokolwiek by się

dopytywał, gdzie byłem w tym czasie - nie odpowiadaj, tylko poprosz innego człowieka i powiedz mu o tym, czego on dochodził u ciebie.

Musiałem to podpisać.

Ja byłem dobry w gadaniu i w pisaniu. Zgadałem się z takim brygadzystą, Niemcem; on raz zobaczył, że biegle piszę i rozmawiam po rusku, po niemiecku znałem / oni często po niemiecku z sobą rozmawiali, nie musieli mnie nic tłumaczyć/. I zostałem przy nim pisarczykiem. Nie miałem pokoju ani biurka. Moją całą zabawą było wyliczanie normy pracy na godzinę; miałem robić zestawienie i położyć jemu na biurku. A za to miałem taką pracę, że mogłem sobie chodzić i oglądać różne rzeczy.

Od monterów był taki Niemiec, Bohojawlenski, Hans Iwanowicz. Drugi, od spawaczy - Juneman. Kiedyś, tak składałem to zestawienie, a on tak mówi: "Ty jesteś taki młody chłopak. Nie gadaj nikomu, co ci powiem, ale jeżeli możesz, to uciekaj stąd. Dochodzimy do pewnego stopnia prac, kiedy się przekroczy pewien etap - nikt z tego nie wyjdzie. Stąd nikt nie wyjedzie, będziecie tutaj pochowani. My pojedziemy w inne miejsce, po nas przyjadą inni, którzy będą dokańczać, ale z wami to będzie krucho."

Łatwo jest powiedzieć "uciekaj", ale jeszcze pytanie jak uciekać? Ja nie wiedziałem wtedy, że tam są trzy zony. A może i dobrze, że nie wiedziałem, bo gdybym wiedział - człowiek jak dużo wie, to jest ostrożny, wszystkiego się boi. W każdym bądź razie musiałem mieć jakiegoś współnika. I właśnie znalazłem. Mówili "Cygan" na niego, może, że czarny był, Baczkariow Wiktor. To był chłopak wyjątkowo zdecydowany, nigdy słowa nie puścił na wiatr - zawsze za słowem szedł czyn. Nie patrzył nigdy, czy to duży, czy to silny - kto mu nadepnął na paluszek, nie darował nikomu. Długo mu się przyglądałem, jak on żyje. Ja sam taką dewizę miałem w życiu i lubiłem takich ludzi, którzy są zdecydowani, wiedzą co chcą, nie obawiają się poglądów. Tak mu mówię: - "wiesz co, Witek, nam chyba razem po drodze."

- "Zależy dokąd?"

- "Wiesz, tak jak ty, tak i ja, prosto pojedziemy tam, nas nie wyrzucą"

już stąd. I co robić ? Daj Boże nogi."

On mówi - "jak chcesz, ja gotów!"

Tyle było gadania. Była jak raz pogoda fajna, lato. Spotykamy się - on w drugim baraku mieszkał, ja mówię : "no i co, Witek, kiedy to będzie?"

- "Choć dziś". Miał taki charakter.

Tam jakiś blok mieszkalny się budował. Wchodzimy z Witkiem do niego i widzimy, że Niemiec stoi. Witek popatrzył na mnie, ja na niego. Ja podszedłem, tego Niemca z tyłu za gardło, Witek jemu po kieszeniach, znalazł przepustki. Zwiążaliśmy mu ręce, zakneblowaliśmy i położyliśmy. Poszliśmy drugiego szukać..

Znaleźliśmy drugiego Niemca, też go - jak tamtego. I poszliśmy na wachtę. Przepustki - proszę. Wychodzimy, mówimy - "no, jesteście! tylko jakby tu dojechać!" My dalej - a tam zona. My w bok - a tam druty. I wartownicy.

Wyszliśmy - nam się wydawało, że z obozu, a my zostaliśmy w obozie, tylko zmieniliśmy zonę. Tu psy, tu wszystko. Znaleźli tych Niemców, przypomnieli, jak to wyglądamy, no i ni^ewiele długo trzeba czekać było, znaleźliśmy się z powrotem w obozie. Tylko już posadzili nas do Śledczy pyta się : "do czego wam to było?" Ja mówię - "jak do czego? przecież wiadomo, do czego. Trzeba było uciekać to z czym?"

- "A, my wiedzieli. A wy wiecie, że gdybyście nawet przeszli tą zonę, to jeszcze trzecia jest? Wy jesteście w dobrym miejscu, wy już nie ujdziecie nam."

Ten Niemiec powiedział, że myśmy mu zabrali dokumenty, w tych dokumentach były razem pieniądze złożone. I nam przyszyli nie ucieczkę samą, ale i rabunek jeszcze do tego. I był "ukaz czetwiortyj szestowo sorok siedmowo" - tak się nazywał ; "wyjezdna ja s. esja - po dwadcat' liet". Po dwadzieścia lat dostaliśmy jak cacy. Miałem swoje dziesięć, dwadzieścia jeszcze - było lżej żyć, nie?

Najgorsze to było, że my z powrotem tu, że nas tydzień potrzymają i z powrotem puszcza do pracy.

Razem z Witkiem siedzieliśmy. "I co teraz, Witek, zrobimy?"

- "Nie wiem, ale ja muszę coś zrobić. Coś może wymyślę."

Idziemy do łaźni, tam - przy kuchni, bo były razem - drwal rąbie drzewo. Witek za tą siekierę wziął i paszoł! rozrabiać. Nakaleczył, potem to rzucił. "To co - mówi - nie będziemy się kąpać, chodźcie z powrotem." Nikt nam nic nie mówił, ale jedno, co było dobre, to że nas zapakowali na samochód i odwieziono na karny oddział, a więc z tej zony - mieliśmy już ją z głowy.

Przyjechaliśmy na karny - mało, że on karny, to jeszcze ma barak karny, w którym zamknięci siedzą. A nary to są okrągłaki, z sęczkami jeszcze, nie ociosane. Wyprowadzali nas do pracy do wydobywania kamienia wapiennego, do kamieniołomów. Trzeba było przejść parę kilometrów. Pierwsze parę dni nas trzymali na kamieniołomach. Wydobywało się kamień, wrywali to i trzeba było ten urobek układać, żeby można było zmierzyć, czy normę wykonałeś. Ale widocznie to za lekka była praca dla nas i przenieśli nas do pieców wapiennych.

Piec wapienny bywa taki : na wierzchu o średnicy 5 m robi się krąg z kamieni, na tym ruszt, układa się drewno do rozpalki, sypie warstwę półmetrową węgla, potem warstwę kamienia, węgla, kamienia i tak do pewnej wysokości. To się spali, kamień się przepala i powstaje suche wapno. Rzucone zostaje do wody, kamień pęka i powstaje mleko [wapienne] - tak się gasi.

Ale jest jeszcze inny gatunek pieca. Kopie się jamę 5-6 m głęboką, z dojściem - takim korytkiem, tak samo wszystko układa się aż do góry, ponad ziemię. Jak węgiel się spala, to kamień się osadza własnym ciężarem.

Tym, którzy byli w karnej zonie, dawano naziemne piece do rozbierania. To nie było takie ciężkie ; mieli takie grabki na długim kijku, nimi wyciągali, potem ładowali na wagonki. Natomiast piece w ziemi, to jak wapno - kamień się już przepalił, to temperatura w piecu była jeszcze też 1000 stopni. I trzeba było gorące wygrzebywać. Jeden człowiek specjalnie nosił wodę do picia. Żeby zająć z wiadrem i przyjść - 10 minut trwało. Każdy od razu półlitrowy kubek wypijał i wszystko z człowieka ściekało ; przynosił znowu i znowu, i znowu. Bardzo często

bywały wypadki, że za szybko woda wyszła przez pory. A kiedy człowiek jest odwodniony, to traci pamięć, a wtedy leci w piec. Wtedy jest koniec - samopalenie. Wielu tak się spaliło.

Oni mieli radość jakąś w tym, że ludzie zdychali w taki sposób. A kiedy człowieka chcieli jeszcze lepiej załatwić, to prowadzono go na skład suchego wapna. Budynek bez okien, bez niczego, bardzo szczelny ; wapno nie może mieć wody. Wagonki są wciągane przez specjalny motorek na linie na estakadę, przewracane i wapno się wysypuje na skarpe. Jest jedna brama wjazdowa [do tego magazynu], gdzie samochody się załadowuje. Tak jest zrobiona, że tam nic nie przejdzie - przestrzeń między burtą samochodu a ścianą jest minimalna, 10 - 15 cm. Człowiek musi załadować wapno na samochód. Z góry wiecznie się sypie [wapno z wagoników] i w całym pomieszczeniu jest pełno pyłu wapiennego. Osiada na twarzy, na rękach, na każdym miejscu odkrytym. Organizm się broni, wydziela pot ; a to wystarczy jakakolwiek wilgoć i wapno zaczyna fermentować. Zaswędziało, dotknąłeś - i skóra zlazła. Na to miejsce - na świeże ciało - zaczyna pył osiadać z powrotem. Oddychasz - a w płucach co się robi ? Tam nikt dłużej nie pracował, jak parę dni - jeżeli dawał radę - i szedł do Pana Boga.

Mnie się zdawało wtedy, że ja wiele znam i wiele widziałem. Nie wiem, jak wyglądają niemieckie obozy, bo nie byłem, ale ten obóz - nawet Hitler mógłby się jeszcze nauczyć. On właściwie wszystkiego się uczył od Ruskich, ale jeszcze do tej perfekcji nie doszedł.

Było bardzo kiepsko. Ja rozumiałem, że nie chciałem t a m zdechnąć, a t u to chyba ja zdechnę.

Bywały tam często deszcze, obfite. Zawsze kiedy wracaliśmy do domu z pracy, przed bramą każdy musiał się rozbierać do naga, ubranie zostawić, odejść na bok ; dozorca podchodził, sprawdzał ubranie / nogą kopnął albo inaczej/. I to obojętne, padał deszcz czy nie - "do naga", " na ziemię złóż", "wróc", "nałóż na siebie". Nawet sznurowadła. Wszystko ma być zrobione jak się należy. Wtedy strażnik otwierał bramę i - proszę !

Kiedys był taki jeden dzień - tak lało, grzmoty były, coś

straszego. Nasz brygadzysta otwiera celę, stanął w drzwiach, mówi :
 "no, ubierać się do pracy". Ktoś powiedział - "żeby cię jasny piorun strzelił !" Wie pani, co się stało? Ten jasny piorun - jak zagrzmiało - jak palec Boży. Tego człowieka nie było ; stał chwileczkę i upadł. Nie wiem nawet, kto to wypowiedział, bo on by się bał nawet wyjawnić się - mieli takie lachy ... "Żeby cię piorun strzelił !" - i strzelił. Nas w ten dzień nie wyprowadzili już do pracy; nie było komu wyprowadzać. Zamknęli cele. Ja nie wiedziałem wtedy, co myśleć - żeby tak powiedzieć - tak trafić - żeby piorun zabił ...

Kiedyś przychodzę z pracy, a dozorca powiada "Wysocki, ubieraj się, idziemy". Bo myśmy tam butów nie mieli u siebie w celi, wszystko stało na korytarzu. Ubieram się, prowadzi mnie do oddziału, gdzie komendant siedzi ; ten mówi "pojedziesz na etap. Jutro do pracy nie wychodź, a przyszykuj się".

No co tam szykować się ! I tak to było - podjechał samochód, nas /troje ludzi/ wsadzili. Mnie podwieźli prosto do rampy, otworzyli drzwi, "wskakuj!". Wskoczyłem i to było wszystko.

Podróż aż do Krasnojarska.

- Cygan został ; ja miałem polityczny, a on nie.

Wylądowaliśmy na przesylnym punkcie w Krasnojarsku. Potem nas załadowali na barki, do "triumów", pod pokład, i Jenisiejem w dół - do Norylska.

Do Norylska przyjechaliśmy jesienią, 1948 roku ; nie do Norylska, do Dudinki. Wylądowali nas rankiem. Bardzo przystojny był nasz dowódca konwoju - wysoki, bardzo elegancki ; tam się zastrzelił. Przywiózł nas, rozebrał się, wykąpał w Jenisieu, ubrał się, poszedł i w łeb sobie strzelił.

Istnieje takie przekonanie - to chyba nie bez racji mówiono - że wszyscy, którzy trafili do Norylska, mają jakąś skazę polityczną. Gdzieś ktoś coś musiał zawsze zarobić u swego przełożonego, jeżeli trafiał do Norylska. Obojętne, czy trafiał żołnierz, czy komсомолец, czy pracownik służby bezpieczeństwa, czy prokurator - każdy musiał mieć skazę. - O, zarobiłeś, bracie, to jedziesz do Norylska.

Z Dudinki nas przywieźli do Norylska. To droga nieciekawa była, bardzo zawiła, pokrętna. Jechaliśmy od rana aż do późnego wieczora, a to tylko 120 km ! Wieczorem nas przywieźli na 4 punkt Gorłaga.

4 punkt obsługiwał miedziany kombinat /"miednyj kombinat"/. Kilka budynków dwupiętrowych - jeżeli się nie mylę ; były budowane. Naczelnikiem naszego obozu Gorłaga był pułkownik Czernienko, Ukrainiec, przystojny, wysoki, elegancki facet ; miał przeszło 50 lat. Miał bardzo męską twarz, spojrzenie okrutne, ale on nie był złym człowiekiem. Jego kierowca wyjechał z Norylska i był mu potrzebny nowy. Musiał go wybrać z tego sztabu - z robotników, z wojskowych, z milicji czy z dozorców. Przyszedł do niego milicjant. Naczelnik zapytał go o zawód - "Pracowałem w milicji." -" O, bracie, ja nie chcę ciebie. Milicjantów to mnie nie potrzeba, won! ." To w jakiś sposób mówi o jego podejściu ; on nie przyjechał dla rozkoszy. Przyjechał, bo go wydelegowano, służbowo, za jego postępowanie - a jakie ? trudno powiedzieć, ale coś tam było.

To był tzw. Gorłag. "Gosudarstwienno Osobo Reżimnyj Łagier". Mój numer B-537. Ode mnie się zaczynało, ja byłem w drugim tysiącu ludzi. Czytałem regulamin, który nas obowiązywał. Myśmy mieli być wszyscy w kajdanach, na noc przywiązywani do jednego łańcucha, praca nasza była też w kajdanach. Wszystko, co mieliśmy robić, to wykonywać w kajdanach. Numery [na czapce, na plecach, na spodniach, na piersi] Ogolona głowa - pół, ubranie też pół czarne, pół białe. Żeby było widoczne nie tylko dla oka, ale i widoczne dla twojej psychiki. Bo im zależało na wykończeniu ciebie - po prostu. W miarę pracuj, ile możesz i w miarę szybko zdychaj. Taka była ich teoria w stosunku do nas.

Ten regulamin, jak czytałem - potem go zdjęli - był naprawdę okropny. Ja nawet carskiej katorgi czytałem regulamin / mam taką książeczkę/ - nasz był chyba straszniejszy. Ale trzeba powiedzieć, że życie swoje, a teoria swoje. W jaki sposób można mnie nałożyć w Norylsku kajdany na ręce i na nogi, jeżeli taki mróz, a to żelazo ?! Przecież to jest śmieszne. Przy tym - jak można mnie w kajdanach puścić gdzieś, jeżeli moja praca jest przejściowa - teraz tu, za chwilę

idę z brygadą tam. Zanim dowlokę się z tymi kajdanami - to właściwie po co ja wyszedłem do pracy ?

Często jak patrzyłem na tych dozorców, to mnie się wydawało, że w pewnych chwilach nam łatwiej się żyje, niż im. Od zony naszej do zony roboczej było parę kilometrów. To jest goła tundra, tam tylko brzoźki karłowate rosną, tak wysoko, żeby mogły pod śniegiem się schować, żeby śnieg je przytulił do wiosny - do lata, tam nie ma wiosny, jest lato od razu.. Teraz robią korytarz ; żołnierze stoją po bokach, od zony do zony, a my idziemy. I on musi patrzeć stale, nie ma prawa chodzić. A jak w taki mróz stać i patrzeć ? Tam walonki nawet nie grzeją. Ile oni przypłacili za to nogami ! Ich życie często było ciężkie.

My musieliśmy zejść wszyscy, na punkcie obozowym czy w punkcie pracy nas przeliczyli, jeżeli się liczba zgadzała, to dawali rozkaz "zdjąć konwój". A jeżeli nie, to co z nimi ? Oni muszą tkwić na miejscu.

Tam nie tylko nam było kiepsko, ciężkie życie. Tam i im było ciężko. Ale znowu powiadają : albo komsomolcy, albo zbyt coś przewinili, że ich tu posłano.

Życie w tym obozie było jak w każdym obozie. Rano się wychodziło, z nocą się wracało. Niosło się walonki do suszarni, szło się do dentysty - jeżeli ząb był do rwania, czy do lekarza - jeżeli po zwolnienie. A poza tym nie było dokąd ani po co [wychodzić].

Wszystko po domach się siedziało. Byli "dniewalni" - wchodziło w ich zakres sprzątać, wmyć podłogę całej sekcji, gdzie mieszkała brygada, przynieść śniadanie, obiad, kolację, pomyć gary, przyszykować na jutro czyste, zanieść walonki do suszarni. Takie normalne życie. Życie więźniów tam się nie różniło czymś specjalnym.

Relacja

Henryka Wysockiego

nagrana 7.05.1991 w Sopocie przez Małgorzatę Strasz

Norylsk to jest strasznie zimna kraina — Tajmyrski Półostrow. Na początku września przychodzi ostatni statek, ostatnia barka. Często bywa, że nie daje rady uciec już, bo ścina kra. Ale przeważnie uciekają. Myśmy przyjechali w ostatnich dniach sierpnia. Tam lato zaczyna się 20 czerwca; lato razem z wiosną. Wtedy idzie huk straszny — w delcie Jenisieju pękają lody. A śnieg — gdy się patrzy na hałdy kilkumetrowe — on na oczach [topnieje]. Słońce jest bezpośrednio, [promienie padają] prosto i ono tak niemiłosiernie grzeje, że w ciągu tygodnia, dziesięciu dni nie ma śniegu. To wprost *niewiarygodnie* — nieprawdopodobne, żeby można było taką ilość...

Myśmy przyjechali do Dudzinki. Wypuścili nas rano *utrom...* — jak mówię o tych rzeczach, to zawsze po rusku zaczynam. Rano wcześniej wypuścił nas — po prostu nogi rozprostować. Trzeba było przesiadać [się], barki miały brać jakiś towar jeszcze i uciekać już do góry, a nas wyrzucili na dwór. Prowadził nas w konwoju kapitan. Ja jestem mężczyzną, ale on mi się podobał. Wysoki, piękny mężczyzna, atletycznie zbudowany, po prostu jak Apollin jakiś. Strasznie czysty, pedantycznie, co rzadko u Ruskich. Myśmy tak stali z brzegu, on się rozebrał do pół, w tą lodowatą wodę [wszedł], wytarł się, poszedł na statek i się zastrzelił. To był pierwszy początek naszego przyjazdu. Dlaczego on się zastrzelił — nikt nie wie. To była wiadomość strasznie przygnębiająca, bo minut parę jeszcze się mył, ręcznikiem wycierał, podskakiwał, ubrał się, poszedł i puff! Wystrzał, wskakują — leży trup. Wynieśli go zaraz stamtąd, do szpitala transportowali, ale to już... Rozmawialiśmy z żołnierzami; mówili, że to bardzo dobry człowiek, dowódca, bardzo sprawiedliwy.

Wsadzili nas do „ciuchci”. „Ciuchcią” nazywał się wąskotorowy pociąg. Miał dwa—trzy wagony, mała lokomotywka. 120 km od Dudzinki leży Norylsk, w linii prostej. Ale nam, żeby pokonać tę odległość, trzeba było od rana aż do wieczora. Zygzakiem trzeba wszędzie objeżdżać.

Przyjechaliśmy i nas od razu przywieziono do obozu numer 4. Wtedy był jeszcze jeden obóz tylko. Mój numer jest B—537. Drugi tysiąc. Przyjechaliśmy jako pierwsi, półtora tysiąca ludzi. Achmatow, syn słynnej Achmatowej, na dwadzieścia numerów wyżej mnie. Więc też gdzieś tam z nami jechał. Kiedy przyjechaliśmy, posiedlili nas w domach, dwupiętrowych, normalnych mieszkalnych domach, tylko pokoje były zamienione na spalne... nary były postawione. I tam się spało. Domy były dość wysokie. Na północy, gdzie jest wieczna zmarzlina, to fundamenty nie robią się takie, jak u nas. Robią się słupy i jest wolna przestrzeń, gdzie półtora metra, wolna przestrzeń między ziemią a podłogą. Kto mieszka na dole, to ma strasznie kiepsko. Ta bryła przekazywałaby ciepło i wieczna zmarzlina reagowałaby właściwie na swój sposób. Mógłby się [dom] zachwiać, bo to ciężar jednak jest, i tak dalej. A więc w taki sposób budowano i tam myśmy zaczęli mieszkać.

Kiedy weszli[śmy], to na ścianie był pierwszy regulamin. Bardzo duży, oprawiony w drewnianą jakąś ramę i wisiał. Było na tym regulaminie napisane tak, że wszyscy więźniowie GOR – łagu... GOR – łag to nie jest dlatego, że obóz znajdował się niedaleko gór, tylko to jest taki wyskok sowiecki: GOR – Gosudarstwieno Osobo Reżimnyj. Tak samo, jak był Tajszet – łag w Tajszecie; tam był OZIOR – łag – Osobo Zakryty Reżimnyj. Po pracy zakrywało się ich w barakach na kluczyk, dawało się przez karmuszkę jedzenie itd.

Nam było połowa ubrania biała, połowa czarna – czy innego jakiegoś koloru, ale w każdym bądź razie różne połowy. Na pól strzyżona głowa. Numery na czapce, [...], na kolanie – na łydce i na plecach numer duży, widoczny. Wszystkim nam obiecano kajdany. Tylko, jak to zawsze w Związku Radzieckim bywa, że ten, kto tworzył regulamin, tam u Kuźniecowa w GUŁAGie, nie miał pojęcia, że w Norylsku są tak sraszne mrozy, że w kajdanach nikt by nie mógł ani iść, ani pracować, bo co z nim by było? Rzeczywistość okazała się trochę inna.

Rygor był okropny dla nas. Nie mieliśmy nazwisk, wołano nas po numerach. Dwa dni na zagospodarowanie nam dali. Myśmy pobrali ubranie odpowiednie, namalowali numery pięknie, odpowiednio duże. A potem już się zaczęła normalna praca.

Nariadczyk to jest człowiek, który zajmuje się wyprowadzaniem do pracy. Do niego niesie się zwolnienie lekarskie, lekarz podaje, kto jest zwolniony z pracy, on zestawienia wszelkie robi – dla URCZ. URCZ to jest Uczotno Rozpadlitielnaja Czast'. Ona decyduje o człowieku, czy człowiek nadający się do tego ma zostać na tym punkcie, czy ma zostać przetrzucony na inny punkt itd. To jest najwyższa władza, która znajdowała się w tym przypadku przy uprawnieniu obozu, naszego GOR – łagu, w Norylsku, w mieście samym. Bo przeważnie URCZ mieści się zawsze w każdym łagrze; jest jeden oddział taki, gdzie jest na przykład SAN – gorodok, miasteczko – szpital, i mieści się tam główna dyrekcja. A tu, w związku z kontyngentem takim, jak my, polityczni, usadowili w mieście zupełnie, żebyśmy nie mieli żadnej możliwości tam się dostać ani cokolwiek.

Wyprowadzali nas na kombinat metalurgiczeskij. Tam przerabiano się dość sporo, bo i złoto, i platynę, a więc metale szlachetne różne, pochodne do innych rud. Nawet wiem, że na Sunduk – gorze (Sunduk – gora) mieli jakieś urany czy inne rzeczy. Ale ja już uciekłem z Urału od takiego obozu i modliłem się, żeby mnie już drugi raz podobne nie spotkało, bo to jest po prostu śmierć.

Był taki pan Litwinienko, nariadczyk u nas. Żeby śmieszniej było, zrobili „inżynieru po trudu”, który miał przestrzegać prawa robotnika. Był taki Mojsiejenko Aleksandr Michałycz, pułkownik z Kaukazu. Był dowódcą pułku zmotoryzowanego, a potem coś mu noga się powinęła, gdzieś zajechał nie w tę stronę, nie w tą okolicę i trafił do tego obozu. Ten Litwinienko zresztą był pracownikiem służby bezpieczeństwa kiedyś; też się gdzieś sprzeniewierzył. URCZ pilnowało, żeby odpowiedni ludzie, którzy kiedykolwiek dysponowali władzą, żeby byli tu też reprezentantami władzy i współpracowali z władzą. Bo jeżeli oni uczynili jakiś krok w lewo, w prawo, niedobry, to oni jednak pozostają wiernymi nadal. Tylko płacą za pomyłkę, ale nie przestają służyć swoim.

Był jeszcze Sobolew Iwan; nasze serce, bo kuchnia jemu podlegała. To też był taki człowiek. I największy Gruzin, Dadoj, był starszym kucharzem. Józef Dąbrowski był palaczem w kuchni, pilnował kotłów, paleniska.

Wychodziliśmy do pracy na ten kombinat. Wychodziliśmy na siódmą, a konwój zjawiał się wcześniej. Odległość z obozu do kombinatu było około 4 km. Ustawiał się korytarz, po lewej i po prawej, po bokach drogi. Żołnierze szli [w odpowiedniej odległości], jak odeszli – z dziesięciu, piętnastu, wypuszczali nasze kolumny, brygadami. Liczyli sztuki i „paszo! paszo! paszo!”.

Kiedyś ten kombinat był obsługiwany przez ITŁ, nie przez politycznych. ITŁowcy w Związku Radzieckim to przeważnie ludzie ubodzy, biedni, których bieda zmusiła przez chuligaństwo żyć, albo inne takie – ukraść coś i tak dalej. Oni nie reprezentowali sobą jakiejś cennej siły. Natomiast kiedy przyszli więźniowie polityczni – każdy coś umiał. Teraz – przychodzi taki inżynier, wolny, i mówi: „czy są inżynierowie?” – „Są”. – „To proszę wystąpić.” – „Jaka specjalizacja?” – „Jestem hutnikiem, budowańcem, elektrykiem, planistą, ekonomistą” – i oczy się rozbiegają. Teraz tych wszystkich ludzi przyjmują i usadawiają na różnych miejscach.

W Norylsku jest bieda na ludzi. Niby sporo ludzi, ale bieda. Tam przyjeżdżają wolni, to przeważnie komsomolcy, na głupi zew [?]. Nawet jeżeli [ze] służby bezpieczeństwa który zostaje delegowany na północ, w tamte strony, to też musiał coś przeskrobać. Jemu po prostu zrobiono ulgę – nie sądzono, lecz odprawiono t a m, na pokutę. Idź, łobuzie, i zobacz.

U nas naczelnikiem obozu był pułkownik Czernienko [wątpliwość co do nazwiska]. Bardzo elegancki starszy pan. Pomimo, że sam był pracownikiem służby bezpieczeństwa, nie lubił ich, zachowania, prowadzenia się tych ludzi; bo to naprawdę było już chamstwo. A on był jeszcze starych poglądów, uważał, że w każdym miejscu człowiek musi pracować, ale powinien zachować twarz, jakieś postępowanie. On był starej daty człowiek. I to może bardzo dobrze zrobiło dla wszystkich GORłagowców, tych początkowych, że taki był naczelnik, który nie wyraził sprzeciwu, bo akceptacja ostateczna od niego zależała. On miał pieczę nad tymi ludźmi i on miał egzekwować dyscyplinę, żeby oni nie czuli się „jak w niebie”, a jak prawdziwi przestępcy. Że przyjechali tu odbywać karę i to nie prostą karę, bo ich wybrali, wyselekcjonowali z wszystkich miejsc – tych specjalnych ludzi.

No i wszyscy się tak zadomowili cacy. Na przykład był taki Borysienko Iwan Borysewicz; kiedyś był naczelnikiem jakiegoś kombinatu, gdzieś tam na Kaukazie – od razu został awansowany. Postawiono go kierownikiem mastierskiej.

Tam nie ma sklepów, żeby przyszedł, kupił to, co każdy chciał – Norylsk to jest miasto. Nie było nic. Lasu tam w ogóle nie ma, [tylko] karlikowate brzoźki. Skąd meble jakie? To wszystko z metalu musi być zrobione. On sam nie będzie robił, a więc – Iwan Borysewicz. Tak to się zaczyna – współpraca, współżycie. Wszyscy ci, którzy pracowali jako specjaliści, zaczęli żyć po prostu ściśle z ludźmi, ze swoimi naczelnikami. Oni byli zawsze uzależnieni od nich. On nie mógł jemu przyjść i powiedzieć „słuchaj, 520, zróbcie mnie to”. On musiał zawołać, dać papieroska albo paczkę tytoniu i mówi „ty by nie mógł zrobić to...” I to mu się robiło.

Potem otworzyli Miedwieżkę, a więc „Jedynkę”. Potem otworzyli „Dwójkę” – Kajerkan. W rezultacie GOR – łag składał się z sześciu obozów. Pierwszy to była Miedwieżka, drugi – Kajerkan, trzeci to był C – katorżniki (katorżanie), czwarty – kombinat, piąty – gorstroj, szósty to były kobiety.

Tym wszystkim, całym Norylskiem zarządzał pułkownik Zwierew. Rodzony brat ministra finansów. To był człowiek strasznie despotyczny, coś w rodzaju Piotra I. Droge, którą tam budowano, to on pojechał wojskowym samochodzikiem, willysem (był strasznie gruby, jak siadał, to samochód, zdawało się, zaraz załamać się pod nim) i pokazał rękę; o tam budować, i pojechał. Człowiek – sadysta. Jego się bali wszyscy. On był udziałowym księciem, nie było władzy partyjnej wyższej od niego. On rządził partią i on rządził Tajmyrem. To był bóg. Miał swoją warzelnię piwa dla siebie, miał swoją krowę, którą my przywieźli jemu. Miał swoje inspekty, swoją rzeźnię, gdzie wędliny dla niego robiono.

W Norylsku byli specjalnie sprowadzani profesorowie różnych nauk, kierunków. Wołało się profesora X i mówiło się mu: „profesor Y powiedział, że jesteście zamieszani w takie paskudne [sprawy], my nie wierzymy, ale jak to właściwie jest?” Profesor X odpowiadał, że to chyba Y zamieszany. – „No widzicie, to napiszcie to, my mamy więcej do was sympatii”. Potem wołali tamtego i mówili: „słuchajcie, poczytajcie. Jak to jest, to wy czy on winien?” – „Pewnie, że on” – „To napiszcie”. Potem jest OSO – Osoboje Sowieszczanie. Trójka zasiada i mówi – „Materiału przeciwko wam nie ma, ale jesteście podejrzeni. Będziecie musieli być odizolowani od swoich spraw.” I teraz pana X i Y razem posadzili i powieźli samolotem. Ich nie posadzili do obozu. Im dali specjalną dużą willę, gdzie były bardzo wygodne apartamenty, jedzenie do syta – jeżeli można nazwać „dobre jedzenie”, bo tylko Zwierew jadał świeże, a tak wszystko było suszone, od mięsa do cebuli; kapusta suszona, burak suszony, ziemniak. Ci ludzie chodzili wolno, nie mieli straży. Cała ta zabawa była potrzebna, żeby ich przesiedlić, bo oni sami, dobrowolnie, nigdy w życiu do Norylska by nie pojechali. A tak – strach zajrzał w oczy i musicie jechać. [Po jakimś czasie] to go zabierali, dawali odznaczenie, mówią „przepraszam, omyliliśmy się trochę, ale partia zawsze sprawiedliwa, macie medalik i jedźcie do domu, bo żona na was czeka”.

Potem mnie i jeszcze kilku ludzi (ja nie znałem nazwisk, nie próbowałem zapamiętać, bo to nie było zupełnie potrzebne) odprawili nas na 5 obóz. 5 obóz to była cegielnia i „gor – stroj”. Budowało się domy, kolektor. W Norylsku nie ma rur takich, jak u nas. Jest specjalny, długi i szeroki kolektor i w środku są ułożone sieci, gazowe, elektryczne, woda ciepła, wszystko. Elektrownia, która wysyłała wodę ciepłą do ogrzewania do mieszkań, to kolektorem, i zwracała do jeziora, z którego pobierała z powrotem tę samą wodę, już podgrzaną. To był obieg zamknięty. Zimą nigdy nie można było przejść koło jeziora, bo parowało strasznie. Kiedy przechodziłeś koło jeziora, to na tobie wszystko było białe. Tworzyła się [lodowa] skorupa; musiałeś przykrywać się, bo pękało razem ze skórą.

Naprzeciw jeziora była górka usypana. Naukowcy sowieccy chcieli wychować tam owies. Sadzali ten owies, najlepsze odmiany; nawet i w nocy rósł, a nigdy on nie urósł. Nie zdążył, biedak. Ich sukces był znikomy.

Na „Piątym” myśmy chodzili na „kirpiczny”, na cegielnię, i gorstroj — budowali mieszkania. Jak przyjeżdżali komsomolcy do Norylska lub wojskowi, którzy mieli tam służbę, z żonami... Nam przywożono latem deski i zbijali nam takie korytka [skrzynki] jak stół, tylko dodawało się ścianki i cement [się w tym mieszało], bo na ziemi nie można, w niczym nie można. Myśmy zawsze to mogli każdemu sprzedać za grubą forszę, choć taka nieheblowana głupia deska. On tylko te boki odrywał, przybijał na dół i już miał stół. Tam naprawdę były warunki...

Na „Piątym” była zupełnie inna władza. Tam prym wodził starszy lejtenent Jegorow. Wyjątkowy facet był. Był starszym „operupelnomocnym”, a przedtem był pilotem. Syn jakiegoś wielkiego gagatka, zepsuty, ale inteligentny bardzo. Przez cały czas nie widziałem i nie słyszałem, żeby Jegorow kogokolwiek uderzył w twarz. Jeżeli największe obrzydzenie ktoś w nim wzbudzał, to najwyżej rękawiczką przed nosem machnął. Tym się wyróżniał. Chodził w skórzanym płaszczu, szczupły, elegancki pan, bardzo czysty, pedant. Największa jego złość wyrażała się machnięciem rękawiczką przed nosem. Natomiast miał takich aspirantów — Spiryn, Mołczanow, Aksionow. To były takie do bicia chłopcy. Umieci to ładnie robić. W środku pokoju u niego był hak. Ręce kajdankami skuwali w przegubach, mocno się stuknęło, żeby szczelnie [się zamknęły], do tyłu, sznureczek i na ten haczyk ciebie podciągnąć. Albo do kaloryferów gorących kajdankami przykują — sobie stój. A przy tym cię leją. Mieli takie swoje sposoby. Biuro operupelnomocnowo mieści się zawsze przy zonie — on miał zawsze tylne wyjście ze swego domku i bramki [w ogrodzeniu], mógł tamtędy zawsze wyjść, w razie, gdyby coś się działo. [Z] wyżki zawsze go widzieli.

Był taki ze służby bezpieczeństwa, pułkownik Saryczow. To był bardzo paskudny człowiek. On prowadził tylko sprawy polityczne. Tak, jak operupelnomocnyj prowadził sprawy bytowe, to ten tylko czuwał nad sprawami politycznymi. On i jeszcze jeden — miał takiego cichego pomocnika. Jego biuro nie znajdowało się przy zonie, tylko w środku, takie niewidoczne.

Władzom zgórnym nie podobała się ta harmonia więźniów z wolnymi. Nie wiedzieli, w jaki sposób popsuć szyki. Tym bardziej, że wszyscy wolni, a więc w jakimś stopniu też i partyjni, nie chcieli, żeby ich skłócono z zekami. Bardzo wiele było uzależnione. Więzień buty mu zrobił, podzelaował, walonki mu podszył, a tak gdzie będzie kto komu robił? Władza zaczęła myśleć, co zrobić, żeby popsuć szyki. No i zrobili.

„C”, gdzie byli katorżanie, miał jednocześnie więzienie. Do najbardziej ciężkich prac byli używani ci ludzie, którzy przeszkrobali gdzieś po obozach, ITłowcy, i tam odbywali wyrok, swoją karę. Władza wzięła tych ludzi i przysłała do GOR — łagu. Wszystkich bandytów, tych, którzy mieli po sto lat wyroki i więcej, przysłali do GOR — łagu. Najbardziej piekielny w GOR — łagie obóz to był „Piąty”. Rozdzielili tamtych po kilku do innych obozów, ale gros, kilkunastu, wrzucili na „Piąty”. Ci ludzie byli wycieńczeni, wygłodzeni, zmęczeni i umieli patrzeć na życie. Kiedy przyszli, rzucili okiem, kto co sobą przedstawia. Myśmy przyszli do nich, popatrzeć na nich, jak wyglądają, to taki wileńszczanin, Kola, mówi „chłopcy, nas przysłali tutaj robić z wami porządek, ale my nie przyjechali robić z wami porządku. I nie

chcemy, żeby wy z nami zrobili porządek. Dajcie nam się odchowić trochę, odkarmić”. – Daj wam, Boże, zdrowie. Odkarmcie się.

I jakoś praca układała się. Ich postawiali brygadzystami, gdzie jakich opornych pozbierali, to do tej brygady. Starali się oni zrobić, żeby było najgorzej, ale jakoś sobie dawało się radę. Oni sami nie chcieli ryzykować. Chcieli choć trochę ciała nabrać i odżywić się, bo tam naprawdę było strasznie w więzieniu, gdzie ich trzymano.

Pyt: Ilu ich było, w porównaniu z politycznymi?

Nie, oni nie mogli stanowić zagrożenia jakiegoś specjalnego. Tylko – polityczni to nie była zwarta masa, to nie był pułk. To był każdy oddzielny interes. Np. taki pan Mészáros. On był w ITRze (Inżynierno Techničeskij Rabotnik), a on ITP – Inżynierno Techničeskij Personal. Oni mieli swój baraczek, w baraczkach dniwalnego, który bardzo czysto sprzątał, bo dbał o to miejsce. Dostawali za pracę nie: wyrobioną, a po prostu normalną pająkę, dużą: kilo sto, trzy razy zupkę, kaszkę z dodatkiem jakimś. Oni np. w życiu by nie chcieli zaryzykować czymkolwiek, w imię czego? Żeby stracić to, co mają? To im dawało gwarancję, pewność, że oni przeżyją! Może te warunki nie były idealne, żona przy nim nie leżała w łóżku, do teatru nie chodził, ale był syty, ubrany i w czystym pracował. Nie musiał zasuwać łopaty. A przecież mógł łatwo trafić do łopaty – a tu sobie siedział. Albo pan Józef [Dąbrowski], jak do kotła podrzucał, a kaszy miał do syta, to dlaczego by miał tracić to wszystko. To nie byli tacy ludzie...każdy miał swój interes po prostu.

Ci panowie jako tako żyli z nami. To nie było zagrożenie ani dla więźniów politycznych, ani dla nich. Kucharze im starali się dawać jeść tak, żeby oni...Nie było nic takiego super, bo kapuśniak czy inne, a wszystko z suchego, ale jak nie ma nic, to lepiej suszony ziemniak, jakoś ugotowany, jak w ogóle nic.

Nas uratowała od tych ITłowców umowa sowiecko–chińska. Wielki Mao bardzo żalił się, że Związek Radziecki nie chce okazać mu pomocy w walce z huzami [?] – bandytami. Rewolucja była młoda, dopiero się umacniała, a bandytów chińskich było sporo. A przestrzeń u nich też jest dość duża. Więc Zw.Radziecki chciał im pomóc. Wszystkich tych bandytów z obozów, zatrzańców, którzy mieli po sto, po dwieście lat więzień, dla których życie ludzkie to było jak plunąć, którzy mieli jakie takie zdrowie – umundurował i oddał Chińczykom. Przedemną maszerowała cała rota w mundurach. Przecież znam tych zbójów! Wszystkich z łaźni umundurowali... Chińską rewolucję bronić. Tak zabrali ich nam. Pozostało tylko parę sztuk, trzech czy czterech. Jeden miał padaczkę, drugi jeszcze coś – on by nawet chciał wyrwać się stąd, oni mieli tam rajskie życie, tak jak słyszałem potem od nich. Gwałcili wszystkie kobiety w okolicy, a mąż jeżeli coś gadał, to dostawał w łeb. Związek Radziecki w taki sposób pomógł w rewolucji.

Pyt: Kiedy to było?

Trudno mi jest powiedzieć konkretny rok. Ja przyjechałem w 48 do Norylska; to może był koniec 49 czy 50 rok. Gdzieś tu to było.[...] [Związek Radziecki] nie tylko brał z Norylska, ale z całego [kraju]. Zebrał wszystkich, samych asów. I oddał – proszę bardzo, bracia Chińczyki. Pozbył się zarazy i jednocześnie zyskał przyjaciół.

Znowu zaczęła się u nas sielanka obozowa. A uprawienie się męczyło, co wymyśleć znowu. No i wymyślili.

W OZIOR – łacie tajszeckim, zamkniętym, właśnie byli banderowcy. A Polak i banderowiec to nie są, jakby z Węgrem, bratanki. Ich inna „przyjaźń” łączy. Przez cały czas w OZIOR – łacie ci banderowcy zachowali swój rygor, system wojskowy. U nich brygadzysta był jednocześnie dowódcą. I był nad nim starszy. A więc to coś innego, jak nasze AK. AK przyszło do obozu i nie byli zrzeszeni, nie starali się dowódcy, żeby stworzyć jakąś grupę, trzymać się razem. Każdy o siebie dbał, każdy miał swoje kłopoty, swoje sprawy na głowie i swoje życie. Byli rozproszeni, nigdy ich nikt nie zjednoczył. A banderowcy – nie, i tu była ich siła.

Urcz przysłała nam z OZIOR – łaga parę set banderowców. I to wszystko przychodzi na „Piąty”, bo cały czas to jest najgorszy obóz. Te inne są spokojne – ludzie pracują, tylko „Piąty” coś, gdzieś ma jakieś tarcia.

Przyszli banderowcy i zaczynają wszystkich swoich, Ukraińców, wciągać do siebie, do swojej siatki. Jedni idą, drudzy nie chcą – tak, jak np. mój kumpel, Kasianik Wasia. Jego stryjek był prowadnikiem, to do niego przyszli – „Wasia, kłaniajem się tobie, ty nasz”, a on mówi: – „a paszli wy!” Oni mówią: – „uważaj, bo ty zapłacisz za to.” Ale Wasia nie zapłacił.

Co tydzień banderowcy zakapturzeni – bo mieli taki zwyczaj, kaptury na głowę – wskakiwali i kogoś zabijali. Zawsze była jakaś ofiara. Władza nie mogła się domyśleć, czy to od nas wychodzi – bo przeważnie znowuż banderowców bili.

Od starych porachunków do nowych wcale nie jest daleko. Dzisiaj ciebie w łeb, a jutro jego w łeb. Np. mój kolega, Piotr Sikorski, cudowny człowiek, wyszedł na nocną zmianę, jak raz bez obstawy – zarabali go kilofami. Zabili go i do studni wrzucili. Jak kopie się fundament pod dom, to przeważnie kopie się do skały, a więc jeden może być głębokości trzech metrów, a drugi siedem metrów. Zależy od tego, gdzie jest płat skały. Wrzucono go do studni. A mówiłem jemu – „Piet’ka, ty nie idź”, a on, że musi iść, bo umówił się z jakimś wolnym, jakiś interes miał. I poszedł na nocną zmianę, i śmierć.

Był taki pan, który to zrobił, a więc główny. I tak się stało przypadkiem, że został zabity. Rano leżą jeszcze, wcześniej rano; otwierają się drzwi, wchodzi sześciu dozorców – „Wysocki, paszli!” Mnie prowadzą do Saryczewa, do służby bezpieczeństwa.

– „Dlaczego zabiłeś go?” Oni wiedzieli, że Piotr to mój kolega, i wiedzieli, że ja nie daruję nigdy nikomu zabić.

Robią rewizję u mnie i znajdują krew. Nie było co gadać, prosto posadzono mnie do SZEZO, bo tam u nas był BUR, a w BURze jeszcze SZEZO (BUR to Barak Usilnowo Reżima, SZEZO to Sztrafnoj Izolator). Ja widzę – oni dawno już mieli na mnie oko, nie wiedzieli w jaki sposób tylko to załatwić. Nie było śmiałość, żeby mnie bili, a sami nie mogli nic zrobić.

Widzę, że to jakaś sprawa się zaczyna. Jak na dopros mnie brali, to tak wyglądało...Spiryn, Mołczanow, drudzy...Jegorow uciekał, (ten starszy operupełnomocznyj). Nakładał rękawice i mówił – „ja paszoł”. I dawano im wolną rękę, a oni na mnie się wtedy wyżywali, jak chcieli. Ja nie wytrzymywałem, wiedziałem, że mnie zabiją. Ręce do tyłu, podwieszają, a potem – jak w worek, strzela jak chcesz. Myślałem, że ręce, cholera, odpadną mnie. Widzę, że taka sprawa jest kiepska, że ze mną tutaj...Mają powód, mogą – mogą mnie w zonę nawet wrzucić, tamten strzeli w łeb, i powiedzą „uciekał”. I co ja zrobię? A oni nie lubili żartować.

I ja założyłem głodówkę. To jedyny ratunek. Głodnego mnie wodzono. Ale to: zaczną bić – stracę przytomność; nie ma mnie, to mogą mnie zabić wtedy. Przyniosą mnie, rzucają z powrotem...

U nas był taki Martynow, dozorca, w BURze. Myśmy nazywali jego „chodzący zakon” – prawo chodzące. Ten człowiek był nad wyraz głupi, ale tak, jak dobry ksiądz zapamięta pacierze, tak on zapamiętał regulamin obowiązujący w BURze. Jego nie posyłali na dyżury nigdzie, tylko do BURu. I on to zapamiętał, jak „Ojciec nasz”. Już był chyba szósty dzień głodówki, a zwykle na siódmy muszą cię nakarmić, albo umrzesz. Ja już miałem majaki; włączałem się na pięć minut i znowu wyłączałem się. Pamięć zanika, co parę minut wraca do ciebie i znowu wpadasz w trans, nie ma ciebie.

Słyszę, otwierają się drzwi i Mołczanow ze Spirynem przyszli. Mówią do Martynowa: – „dawaj Wysockowo!”. A Martynow mówi – „nie dam, on już nie może. On sześć dni już głoduje, nie może.” Oni schwycili klucz, otworzyli celę sami, wyciągnęli mnie – po prostu wzięli za grzbiet, nogami w dół, pociągnęli korytarzem. Jeden mi w bok nogą, drugi...A Martynow mówi: „stop! Tu j a, nie wy. Won stąd!” – na nich. Pierwszy raz w życiu ten człowiek ośmielił się swoim naczelnikom wymówić posłuszeństwo na służbie. Oni na niego zakrzyczeli, rzucili mnie i poszli. Martynow wygrał. On nigdy do żadnego więźnia nie rozmawiał; to, co napisane, to było, on nie miał prawa z nim rozmawiać i nie rozmawiał. Tu pierwszy raz w nim litość zagrała. Mówi; – „No, Wysocki, udało się tobie teraz, może jakoś ty wytrzymasz”. Wziął mnie pod rękę i zawlókł – ja już nie miałem siły chodzić, już koniec był ze mną. Założył mnie na nary i zaraz przyszedł Willi Rauch. To był Niemiec, felczer. Bardzo niedobry człowiek. Nie wiem, za co on siedział; był rodowitym Niemcem. Przyszedł – kiedyś on by sobie nie pozwolił na to ze mną, a teraz, kiedy leżę jak kłoda...On przecież mógł mnie inaczej karmić, ale nie – miał widocznie takie zarządzenie. Zwykle daje się szlauch grubości ołówka, a on miał trochę grubszy, i w nos. Przez nos dopiero do żołądka. Dwóch mnie trzyma, żebym się nie mógł poruszyć, przez nos ten szlauch i karmili. Karmili, karmili, dochodziło już do miesiąca. Czuję się już bardzo kiepsko.

Pyt: Pan sam nie chciał przyjmować pożywienia?

To był mój jedyny ratunek, mnie czekała śmierć. Ja wiedziałem o tym, co mnie czeka.

Pyt: Czym się Pan im tak „zasłużył”?

Byłem sobą. Ja nie pozwalałem sobie... U nas np. dyżurnym oficerem był taki Pietrow. Robi obchód nocą, a ja siedzę i piszę list do dziewczyny. Bo chodziły one na jedną zmianę, my na drugą. Każdy – ten pod cegielką zostawiał list, ten w innym miejscu; tak my się przepisywali. Ja miałem taką Ninę Farto. Siedzę, piszę list. On otwiera, wchodzi

– „Wysocki, para ciebie spać”.

– „Wozmożno, [zaraz skończę]”

– „[Oddaj to] [... – zła jakość nagrania]

– ”O, Pietrow, mienia nie wazmiesz!,,

– ”Wazmu!!,,

I do mnie, a ja jemu... Wiedziałem, że t a m tylko decyduje zwinność, siła. Ja cały czas trenowałem. Miałem taki chwyt... A szyja u mnie była równo [z głową]; troje mnie jeżeli chwyciło, to jak się zakręciłem, to to leciało. Ja go za rękę schwyciłem, zwaliliśmy się na podłogę. Położyłem jego na łopatki i mówię – ”szto, Pietrow?,,

– ”Ja ciebie eto nie praszczu,,

Wstałem, porwałem ten list równiutko, podszedłem do pieca, wrzuciłem, – ”paszli!,,. Zaprowadził mnie do SZEZO. Rano mnie budzi – ”wstawaj do pracy,,. Ja mówię ”a gównno! Przyprowadziłeś mnie, to ja będę teraz tu. Po co ja mam pójść?!,,

– ”Wysocki, nie wygłupiaj się... chodź, idziemy. Ja zapomniałem, co to było,,

To były takie stosunki. Taki dozorca – on ze mną starał się żyć w zgodzie, bo wiedział, że ja się nie boję, że mnie posadzą. I w mordę mu dać też nie boję się. A on musiał się z tym liczyć, bo to niezbyt miłe. On wiedział, że mnie nie strach, ja nie boję się, że mnie posadzą. Drugi się bał. Ja czasami siedziałem i rok na 200 gram chleba i jeden raz dziennie zupę – i nic, byłem syty zawsze; nie zaglądałem do nikogo i nie prosiłem nic. Z takimi ludźmi to ciężko i nie lubią takich.

Przy mnie np., jeżeli ja jestem w brygadzie, a brygadzysta chce robotnika stuknąć, to wpierw na mnie popatrzy. Ja mu stuknę! Ludzie cieszyli się; wiedzieli, że jeżeli jest w brygadzie, to znaczy będzie dobrze. Nie będą lać jego łopatą, zabierać chleb czy jeszcze coś. Zawsze jest ktoś, kto obroni.

Tym bardziej, że miałem jeszcze kolegów takich, jak ja sam; a więc nas była grupka, tworzyliśmy pewną siłę, pewien opór, z którym trzeba było się liczyć. Ja nie musiałem się bać, że mój kolega będzie... Brat by za mną się nie wstawił, ale mój kolega życie odda za mnie. Tam inne jest pojęcie koleżeństwa. Każdy wie, że twoje życie zależne jest ode mnie, a moje od ciebie. Tylko razem tworzymy jakąś siłę, a nigdy oddzielnie.

I ten Rauch mnie tak serdecznie karmił. Myślałem, że ja z tego nie wyjdę. To był marzec miesiąc, 53 rok. Tak leżę sobie... Dali drugiego do mnie, do celi, bo byłem sam, żeby już pilnował mnie. [Ktoś stuka do drzwi] – ”Wysocki!,, – [przyszedł] Martynow – Stalin umier. Ty znajesz? Szčas pridut po ciebie. Sabirajsie”. Ja mówię – „Martynow, ja nie mam siły.” To przyszedł Pietrow – on był jak raz dyżurnym oficerem – i Martynow, ubrali mnie, jak dzieciaka. Wzięli jeden rękę, drugi rękę na kark i tak mnie do operpołnomoczno nieśli.

Przynieśli mnie tam, posadzili na krzeselku, trzymają mnie, żebym nie upadł. Operupełnomocny Jegorow [mówi] – „Wysocki, podpisz artykuł 206 o umorzeniu sprawy.”

Ja mówię – „co za okazja?”

– „Takie zarządzenie jest z Moskwy, że wszystkich, którzy siedzieli i, tak jak ty, mieli dostać w łeb – to wynikało z warunków, jakie stworzył Stalin; ty nie jesteś winien. Podpisz.”

Podpisałem. Jegorow mówi – „Pietrow, idź do Willy Raucha, niech zrobi jedzenie mu. Tylko niech postara się karmić go jak człowieka, przyzwyczajonego, i kilka razy dziennie.”

Willy Rauch wieczorem jeszcze przyleciał z butelką. Tam dawali nam zgęszczone mleko, masło – i to wszystko. Robił się z tego bardzo słodki, tłusty napój, gęsty. Olbrzymia strzykawa z rurką, w nos ci wsadzi i pompuje to. Ale już więcej on z rurką nie przyszedł. Przyniósł to w słoiku, Martynow podgrzał trochę na piecu, u siebie; ja już wypilem sam. Mówi – „No, Wysocki, potem napiszesz – teraz nie wysilaj się – że zdejmujesz głodówkę” (trzeba było podanie napisać). Rano znowu mi porcję przynieśli. Martynow pierwszy raz papierosa skręcił dla mnie, zaślinił, mówi – „zapal”. Nawet ten człowiek, który w życiu nigdy słowem nie odzywał się, a jednak miał serce. Chyba pierwszy papieros, który on więźniowi skręcił – to chyba byłem ja.

Potem mi ten Rauch zaczął przynosić bułeczki maślane i tak mnie zaczęli podkarmiać.[...] Zaraz koledzy moi zaczęli przynosić jedzenie. Jak wychodzili do pracy, to się ma kontakt z wolnymi, to się sprzedają – parę bielizny, jeszcze coś. Nawet choćby siekierę zakładową czy ten „stół”; cokolwiek, ale zawsze jakiś interes się kręcił.

I tak ja doszedłem trochę do siebie. To było w marcu; ja dochodziłem powoli...to było lato już. Koniec czerwca albo początek lipca. Operupełnomocny zobaczył, że ja już trochę nabrałem ciała; zdecydował nas stamtąd odprawić.

Siedzę jeszcze w BURze, przychodzi dozorca i mówi – „Wysocki, pojedziesz na etap” – „Dokąd?” – „Nie wiem, ale pojedziesz”. Patrzę, że moich koleżków przyprowadzają i do celi do mnie. Mówię – „a to co?” – „Nie wiem.” – „Ale pojedziemy za to; skoro was do mnie dosadzili, znaczy nam jedna droga”. I rzeczywiście. Zaprowadzili nas do łaźni...

Miałem takich dwóch banderowskich kolegów. Byli kiedyś moimi koleżkami niby – Burunduk Borys Błaszkiw i, drugi, Marian, [nazwiska nie pamiętam]. oni dostali za zadanie, żeby mnie zabić. A to przecież moi byli koleżki; nie zupełnie tacy, jak miałem t y c h , ale – w dobrych stosunkach żyliśmy. I oni przyszli do łaźni, ale jak zobaczyli, że wszyscy [razem stoimy] – to im nie wyszło.

Po łaźni nam oficjalnie powiedzieli, że „jedziecie, jeżeli macie jakieś rzeczy w zonie, to powiedzcie, przyniesiemy wam. Wyjeżdżacie na Kajerkan, na ”Drugi,,

Pyt. Kto kazał banderowcom Pana zabić?

Każda grupa, stanowiąca siłę i chcąca rządzić, zwalcza inną siłę. Oni po prostu musieli zlikwidować, dlatego, że my im przeszkadzaliśmy. Kiedy mego koleżkę, tego Kasiannika Wasię, przyszli i zaczęli straszyć, a nawet próbowali go poturbować, on przyszedł do mnie i

mówi – "byli u mnie i tak i tak..., Więc przyszedłem ja do ich baraku, do ich dowódcy, bo znałem go dobrze, i powiedziałem – "ty widzisz jego? To zapamiętaj: jeżeli któryś człowiek twój ruszy go, to ja nie będę szukał [winnego], ja do ciebie przyjdę. Ty mnie zapłacisz za wszystko. Spróbuj tylko go ruszyć., On wiedział, że ja zrobię. I nie uratuje go nikt.

Po prostu trzeba było nas usunąć z drogi.

Na jutro rano ciuchcia, która idzie na Kajerkan – do Dudzinki, ale przez Kajerkan – nas powiozła. Po południu myśmy byli na Kajerkanie. Podchodzimy do zony, otwiera się brama i spotykają nas panowie – Nowikow Alosza, Worobjow Iwan. Ten Nowikow Alosza, to kiedyś razem z Burmistrzem zabili Zamurę. Zamura to był też jeden z t a m t y c h, człowiek mały, niepozorny, ale nożem rzucał bezbłędnie. Podejść do niego z żadnej strony nie można było; był jak pchła. Taka walka była – zabij silniejszego, to będziesz silniejszy, a ktoś przyjdzie, zabije ciebie, będzie jeszcze silniejszy. Cały czas ta władza.

Worobjow przyjechał z OZIOR – łąga razem z banderowcami. On z nimi miał wiecznie na pieńku. Był oficerem sowieckiej armii; trzeba powiedzieć, że bardzo odważny był człowiek. Miał przy sobie zrzeszonych jeszcze kilku swoich żołnierzy. Ale poszedł w złe ślady – poszedł na służbę do operupełnomoczno Kajerkana. Stworzył szajkę z tych zboczonych banderowców, miał ich chyba z sześćdziesiąt ludzi, zajmowali cały barak. Góra i dół to oni byli, sami swoi; w samym końcu, w rogu spał Worobjow, a obok [Nowikow]. I ci ludzie wykonywali wszystkie zarządzenia operupełnomocznowo. Terroryzowali całą zonę. Jeżeli ktokolwiek nie chciał pracować czy coś, to oddawało się go do brygady Nowikowa czy Worobjowa. A tam już wszystko było w porządku. Oni mieli swoich ludzi, którzy już dopilnowali, żebyś ty odpowiednio się zachowywał.

I właśnie nasz operupełnomocznyj, po uzgodnieniu z kimś, nie wiem kim, zdecydował, że my pojedziemy na Kajerkan, na przeszkolenie dobrych manier.

Myśmy przyjechali, a ci panowie stoją...Ja Nowikowa to znam bardzo dobrze, a Worobjowa to nie znałem, on przyszedł stamtąd [z Tajszetu] i od razu był [w Kajerkanie]; jego na "Piąty,, nie posyłali, bo tam by jego zabili. On stworzył własną bandę. I teraz: tu banderowcy biją, a tu biją ci. Jak z tych poślą t a m, jak będzie niegrzeczny, a tych stąd tam. I takie to rządzenie było.

Oni bardzo byli uciążliwi. Kajerkan to dość spora zona, sporo ludzi. Tam pan Meszczyński był w ITR, Inżynierno Techniczeskij Personal, i w tym czasie Dąbrowski siedział w SZEZO tam. Meszczyński mieszkał drugi barak za SZEZO.

Przychodzimy na bramę, brama się otwiera i cała świta – Nowikow i Worobjow, stoją, za nimi ich ludzie. – "Priwiet, Żeńka!,, (mnie Żeńka nazywali)

– "Priwiet, Alosza, priwiet,,

– "Przyszedłeś do nas? Jutro do pracy razem pójdziemy.,,

Ja mu mówię – "Alosza, twoja bieda, że ty, bracie, mało książek czytał, bo byś wiedział, co się pod Cuszimą stało, kiedy Ruscy bili się z Japończykami. Dowódca japońskiej floty powiedział, żeby się poddali, to będzie zaoszczędzona krew ludzka. Ruski dowódca, wiedząc, że przyjdzie posiłek, mówi, że rano się poddamy. Japończyk mu powiedział, że 'zanim słońce

wzędzie, to rosa oczy wyje'. To byś wiedział, bracie, że zanim przyjdzie jutro, to trzeba noc przeżyć.,,

On popatrzał na mnie... Można sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek, kiedy ma pod sobą takich współbraci. Wystarczy jemu jednym palcem tylko pokazać, machnąć, żeby mnie rozerwali na strzępy, każdy by chciał wysłużyć się. Tym bardziej, że każdy wie, że operupelnomocnyj żadnej sprawy nie wytoczy, każda sprawa będzie umorzona.

Przyszedłem do baraczku i jak raz wszyscy banderowcy się zbiegli do mnie; bo oni wiedzą, jaki mój stosunek i po co ja tutaj przyjechałem. Im potrzeba było kogoś, kto by ich zjednoczył i ustawił przeciwko temu. Przyszli do mnie, pomimo tego, że nie za bardzo mnie sympatyzowali. Siedzimy razem, oni mówią, że "nam jest tu bardzo źle, ciężko.,, Ja mówię — "Rozumiem, nam też jest ciężko, a będzie jeszcze ciężej.,,

— "Ale musimy coś zrobić; my wam chętnie pomożemy, w czymkolwiek.,,

Ja mówię, że nie, "my sobie sami poradzimy, bez was.,, Ja nie chciałem w polityczną sprawę włączyć, bo jeżeli ja bym się z nimi, z banderowcami...to by trochę inaczej wyglądało. A tak, to są porachunki nasze, nie — polityczne; bo wtedy jeszcze gorzej by było.

W tym obozie był mój kolega, Gromow Tolek; miał kilkanaście dni do końca wyroku. I on mówi — "Ja ciebie zostawić nie zostawię, pójdę z tobą. Ale nie dajcie mnie, żebym znowu dostał dziesięć lat.,, Odsiedział chłopak tyle czasu i teraz co? Jaka była solidarność koleżeńska, jeżeli człowiek tyle lat siedzi, tak marzył o wolności — podchodzi okres wyjść, a on idzie z tobą. A może nawet nie wyjdzie, bo go zabiją? Bo jak się wchodzi w pięć osób w sekcję sześćdziesiąt osób? I to nie osiłki jakieś. Tym bardziej, że Worobiej i Nowikow to też nie takie fojary, że się boją czegoś.

Położyliśmy się do łóżeczka na niby. Każdy z nas miał taki ładny majcherek... Szczególnie myśmy lubili pilniki; stary pilnik, okrągły, trzygranny, zaszlifowany [na czubku] jak szpilka. Wszyscy mieliśmy przyszykowane. Pobudka o szóstej, a my o piątej — do ich baraku. Dniewalny zobaczył, że my wchodzimy, krzyknął. Jeden Ukrainiec rzuca się z góry, a Igor Nikulin jak raz jak on leciał, to jak mu dał w pęcherz, i przebił. Drugi skacze; też leży. cztery trupy na miejscu. I to wszystko z tych najwierniejszych, sług. Pan Nowikow schował się pod nary. Worobiej miał tam taką deskę i stanął w kącie, [za nią]. Ja podszedłem do Worobia i mówię — "posłuchaj, Wania, ja nie chcę cię zabijać. Wystarczy już te cztery trupy. Ale z zony spieprzajcie. Żeby was nie było.,, Na mnie jeszcze krzyczy [ktoś] — "ty bij jego, bij!!.,, Przecież mnie nie o to chodziło! Mnie chodziło o to, żeby zrobić porządek, a nie to, żeby zabić ich wszystkich. Niech idą, tułają się sobie, gdzie chcą!

Myśmy wyszli z zony. Poszliśmy jeszcze po takiego...Taki Cygan był, mieszkał oddzielnie, z chłopcem spał. Daliśmy mu też do syta. A potem poszliśmy do kuchni, tam posiłki już szykowali się wydawać. Kucharzom powiedzieliśmy po prostu — "chłopcy, jest brzydka sytuacja. Albo posłuchacie i będziecie cali, albo będzie z wami też źle. Wszyscy — kłaść się do kąta.,,

Pyt: Cygan — dlaczego trzeba było go zabić? Kim on był?

On był razem w grupie Nowikowa; był na Miedwieżce brygadierem BURu. Tłukł tam ludzi, bez serca; mnie opowiadali. I trzeba było go, niestety... On popadł najgorzej, bo tamci byli razem, a on był oddzielnie, ze swoją kochanką spał. I mu się dostało. Biedak! nie spodziewał się... Jak w tym powiedzeniu japońskim [...] Nigdy nie licz na to, co rano będzie. Dożyć do rana trzeba jeszcze! Nie każdemu dano.

Zaraz fama poszła — "pobili!,,, "trupy!,,, Wszystko się zerwało, nie wiadomo, czy zaraz będzie ciąg dalszy, co będzie dalej... Pomógł nam oficer dyżurny; dosłownie pomógł. Otworzył bramkę zony i wszystkich ich w środek wpuścił. I oni środkiem, pod wyżkami, wyszli za zonę. Tam ich posadził. Już tam byli bezpieczni; całą bandę.

Jak banda wyszła, jak ten naród się podniósł! Wskoczyli, kto kij, kto ławkę w rękę, kto deskę, kto kawał pręta jakiegoś, kto nóż i na zonę! Dozorcy widzą, że to straszna sprawa! Zaczęli swoje grzechy kto komu przypominać i rozliczać. Wiadomo, jak ludzie dostają amoku, a tym bardziej, jak widzą — trupy leżą. Każdy wskoczył, zobaczył, i na drugiego... Jeden ucieka, a drugi wydrze się...

Przyszli dozorcy do nas; myśmy powiedzieli — "dzwońcie do generała (to był dowódca wojsk ochronnych), żeby przyjechał po nas. Inaczej porzniemy tu wszystkich. My nie wyjdziemy stąd.,,

No i zadzwonili do generała. Generał kazał nie ruszać, zostawić w spokoju i — już jadą. I rzeczywiście, zaraz przylecieli, samolotem, kukuruźnikiem. Przylecieli z Norylska, generał swoją obstawę wstawił, "chodźcie, chłopcy,,. Już pod obstawą — żołnierze tego generała — przyprowadzili nas do izolatora. Wszystkich powyrzucali z celi; trzeba było zwolnić, kto tam miał parę dni izolatora, to "won, paszo!,,, Nas posadzili każdego oddzielnie i na korytarzu postawił generał swoich ludzi; tamtych dozorców też wypędził. Myśmy posiedzieli parę godzin. Zaraz nas zabrali i pod konwojem generalskim myśmy pojechali do więzienia miejskiego. Odwieziono nas nie do obozu; z obozu won!, bo wiedzieli, co nam mogą zrobić w obozie, ten upelnomocznyj. Nas odprawiono do więzienia miejskiego, do Norylska.

Tolik Gromow od razu uciekł. Jak skończyła się zabawa, to mówimy — "Tolik, zwiewaj!,, Wasia Kasjannik — mówię — "w nogi!,,, bo to małolata, "już cię nie ma!,, Pozostali tylko Igor Nikulin, Woronow i Wysocki. Trzech.

Śledczy woła i mówi tak — "Wysocki, powiedz, jak to się stało, że was trzech, ich sześćdziesiąt, cztery nieboszczyki, i takich asów pod nary zapędziliście? To niemożliwe.,,

— "Jak to niemożliwe, kiedy fakty takie są.,,

Na śledztwo doprowadzali, pytali się tamtych; mówią, że było sześć osób, ale kto, to nie wiedzą. Ale może i wścibscy, jacyś ciekawscy byli. Przecież barak jest na dwa skrzydła; tu się dzieje, awantura, a z drugiego mogli stać i patrzeć. Ja jemu tłumaczę, mówię, że taki zbieg okoliczności, zaskoczenie, jak człowiek jednym okiem śpi, drugim patrzy, to nie zawsze się orientuje.

Tak się zbiegło ładnie, że myśmy wszyscy mówili to samo, ale to by nie było to samo, gdyby nie rozwijała się walka w zonach. Jak zaczęło się w Kajerkanie, jak zabrali nas, zaczęły się porachunki, zaczęli dochodzić do swoich racji, do swojej prawdy; zawsze boli kogoś, a jak jest okazja, to dlaczego nie wykazać się czymś. Z tamtego [obozu] dowiedzieli się na "Piątym,, zaraz. Na "Piątym,, jak się dowiedzieli, to banderowcy zablokowali wszystko i zaczęło się znowu... Tam też było kilku takich i siakich ludzi. Każdy kogoś krzywdził, ale dopokąd nie ma okazji, to nikt za tą krzywdę nie chce się mścić. On pamięta, wiecznie pamięta, ale jak nie ma okazji — jak mówi stare arabskie przysłowie 'rękę, której nie możesz ugryźć, to ucałuj'. Tak samo i oni żyli. I zaczęło się tam. Jednych wypędzili z zony, zaczęły się porachunki, krzyki, tumult, biegania. Drudzy zaczęli sami uciekać z zony, tym bardziej widząc, że tam nie wiadomo, do czego może dojść, kto kogo jeszcze ma chęć zabić — jedno przy drugim zawsze można.

Powiedział [operupelnomocnyj], że wszyscy ci, którzy nie chcą brać udziału w tej awanturze, mogą wychodzić z zony. Będą na wolnym posiadzeniu, a niektórym wyroki będą w ogóle zredukowane. I strasznie dużo ludzi wyszło. Zostali banderowcy — oni tworzyli jedną, zwartą grupę, pod jednym dowództwem, zostali Żydzi — byli bardzo solidarni z wszystkimi, a jeden z dowódców to był Frenkiel, całego tego... Wtedy roszczenia nabrały charakteru politycznego. Zaczęła się niby katawasia, ale teraz — zaczęły się roszczenia charakteru politycznego. Po pierwsze, że mamy prawo pisać listy i otrzymywać paczki, mamy prawo otrzymywać pieniądze. Za otrzymane pieniądze mamy prawo kupić jeść. Za swoją pracę, choć minimalną, ale jednak musimy dostać zapłatę. I trzeba nas traktować jak ludzi. Mamy prawo do leczenia, do szpitala, do chorób, a nie to, że chory, nie chory, idź umieraj. Ludzie obudzili się; tu roszczenia się zaczęły nie chuligańskie, tylko polityczne. A więc na Kajerkan z powrotem ten bumerang wrócił, już w postaci też postulatów. "Piątka,, — też postulaty. Miedwieżka trochę tam... Z "Czwórką,, z kombinatem, były lekkie tarcia, ale nie za bardzo to wyglądało.

Oni zobaczyli, że nie opanują tego, bo już zupełnie inny element zaczął dochodzić do władzy. Już nie "bandera,, już nie rozbojnik, ale zaczął dochodzić człowiek polityczny, żądać swoich praw.

Nie mogli dłużej czekać; zażądali samolotu. Całe NKWD zaczęło swoje rodziny pakować do samolotów; ewakuacja. To nie żarty.

Jaką stanowi wartość żołnierz sowieckiej armii, szkolony jako tako, ale mający żonę, dzieci, jeszcze jakąś przyszłość przed sobą, i [człowiek], który siedzi w obozie, który przeszedł wszystko. W obozach byli ludzie, którzy przeszli wszystko. Zdesperowany, głodny, zły, nienawidzący wszystko, pozbawiony wszystkiego — ludzkości, podstawowych rzeczy. Wszystko, co człowiekowi może służyć do życia — jego pozbawiono. On nie miał papierosa nawet, on nie miał nic, a jemu kazano żyć — dla p r a c y. A więc oni dobrze się spodziewali, że tu może być "ciepło,,. Jeżeli ta masa by wypłynęła... GOR — łag miał przeszło 20 tysięcy ludzi. Gdyby 20 tys. ludzi, szkolonych, obojętnych na wszystko, gdyby wyszło z zony — wie pani, co by było z tego Norylska? Doborowa armia dwudziestotysięczna, pełna gniewu i złości za krzywdy i za wszystko, co im robiono.

To już się nie dawało ukryć. Zwierew zadzwonił do Moskwy. I przyjeżdża pałkownik Kuźniecowa, naczelnik ITŁ – Isprawitielno Trudowych Łagierej. Pomocnik Ławrientij Pawłowicza Berii.

I teraz na "Piątkę,, – tak jak miałem relacje potem już – szła tyraliera. Czołgi przodem, karabiny maszynowe sieką, z tyłu za czołgami żołnierze z granatami. Przez okna wrzucali do baraków, a na nich leciały tylko kamienie i inne takie rzeczy. Ale te czołgi... barak to czasami jest trochę mocniejszy, nie jest tak prosto, żeby wjechał jak do chliwa i zakreślił.

Tam strasznie dużo pobili ludzi. Granaty to są granaty, a czołgi to są czołgi. Karabin maszynowy, jak to mówią "krupno kalibernyj,,", to siecze rzetelnie.

Przyjechał Kuźniecowa i zaczął swoje przemówienie. Zaprzestano strzelania, megafony włączono, on zaczyna mówić: – "Zaprzestańcie walki, napiszcie wszystko, co chcecie, my rozpatrzemy i wszystko, co możliwe, wam damy,,. Więc napisali. Rozejm miał nastąpić chwilowy. W tym czasie, pewnego dnia, w obiad, Kuźniecowa wchodzi na beczkę, żeby zacząć swoje przemówienie, [a z megafonów rozlega się głos]: "Wnimanije, wnimanije! Gawarit Maskwa! Lewitan piereda poslednije izwiesti! (Lewitan to był główny liktor Związku Radzieckiego; wszystkie sprawy najwyższej wagi państwowej to zawsze on mówił,,), I teraz zaczyna się. "Gawarit gołos partii, gołos prawitielstwa! Ławrientij Pawłowicz Beria, wrag naroda, izmiennik rodiny, prigawarion k rastroiu. Prigawor wypołnion,,. A wszyscy mówią – "ty jego pomocnik i jeszcze żyjesz?!, I w niego, w Kuźniecowa... Oni zaczęli uciekać. Kuźniecowa z beczki zeskoczył, obstawa żołnierska, wszystko w nogi. Nigdy w życiu nie spodziewał się – taki siurpryz?! "Wrag naroda, izmiennik rodiny?,,. Straszna to była rzecz. Wtedy myśleli w ogóle, że już nie opanują.

A tym bardziej – doszła wiadomość: Workuta podniosła się, Kołyma podniosła się, Pieczora stoi dębem, bracie, Tajszet – łag trzęsie się cały!

Było u nas kilku generałów. Im mówiono nawet: – "co wam szkodzi? Przecież i tak z tego życia wam głównie zostało! Teraz jest okazja!,,

– "Okazja jest, ale gdzie ty z Norylska pójdziesz? Przecież nas zrównają z ziemią! To nie materyk, nie Ziemia Wielka, że możesz maszerować – mówi – wyzwałać obozy całe! Tu nie ma miejsca i nie ma ratunku dla nas,,.

Po prawej stronie 500 km martwej tajgi, a po lewej jest równina; tam ciebie znajdą wszędzie. A zanim dojdiesz parę tysięcy kilometrów... A taka masa, to co miałyby jeść, jak żyć? To było po prostu niemożliwe.

To już nabrało za wiele rozgłosu. Tu Beria, tu obozy wszystkie grzmia... Powiedzieli, że "skrócić sprawę, przyjmujemy wasze warunki. Zgoda, tylko niektórych was odprawimy stąd, pojedziecie w inne miejsce, ale będzie już inaczej,,.

I rzeczywiście; wszystkich, którzy aktywnie brali udział i przejawiali jakąś agresywność, zebrali do oddzielnego miejsca. Wszystkich [tych] zebrali. Resztę – niektórych wypuszczono na wolne posiedlenie. Niektórych wywieziono na Kałymę, w drugie miejsce na posiedlenie, jak np. Dąbrowski i Mieszczyk; masa takich. Po prostu zmienili im grunt. A tych bardziej agresywnych zebrali w miejsce i potem przyszli do nas, do więzienia.

Mówią — słyszę — "Nikulin, Wysocki, Woronow! Prigatowit'sia s wieszczami!,, Wychodzimy na korytarz i dozorca wyprowadza nas do samochodu. Samochodem nas odwieziono do więzienia jeszcze innego. To było jakieś sekretne więzienie, nad jakąś rzeczulką malutką. Samotna chata stała w tundrze. Kiedy nas wprowadzono do celi — tam sami banderowcy siedzieli. Oni nas entuzjastycznie przyjęli! [śmiech] Myśmy jakby się sprzymierzyli z nimi — największego ich wroga tam... Siedzieliśmy tam chyba dwa dni. Potem nas wszystkich podrzucili do wagonu i przyjechaliśmy do Dudzinki. W Dudzinie do trium, na barki i pojechaliśmy na Matierik, jak mówią. Zanim przyjechaliśmy, w barkach było 12 trupów.

Zawieźli nas do więzienia we Włodzimierzu, pod Moskwą. To jest więzienie tzw. GUGB — Głównowo Uprawlenia GosBiezopasnosti. Wszystkich trockistów (można ich sobie tak nazywać, jak się chce), wszystkich, jednym słowem, wrogów narodu sadzono tam. I nas też tam przywieźli.

Władimir to jest miasto bardzo stare, pełne klasztorów. Jak zaczynał się wieczór, to w tych klasztornych parkach setki, tysiące wron żegnało nas zawsze — "krrr! krrr!,, I budziło też nas swoim krakaniem.

W tym więzieniu siedzieli całymi rodzinami — z dziećmi, tam się rodziło... Prace twórcze prowadzili różne... Siedział generał Jasina nade mną, przez alfabet Morse'a rozmawiałem z nim, Jamada, z kwantuńskiej piątej armii. A przedtem siedziałem, jeszcze na Kajerkanie i na "Piątym,, z Piotr Zinowiczem Dikariewem. Dikariew Piotr Zinowicz, pałkownik carskiej armii, dowódca oddziału pogranicznego w Mandżurii. Miał swoje nazwisko Din—bidu, po chińsku; był głównym tłumaczem przy głównym sztabie piątej kwantuńskiej armii. Rozmawiałem z generałem Jasino Jamadą mówiąc właśnie, zlecając się na Dikariewa. Ten Piotr Zinowicz Dikariew miał klatkę piersiową — moich cztery; jak niedźwiedź.

Jak przyjechaliśmy do Włodzimierza, nas pomieszczono — była dość spora cela, łóżka wmurowane w posadzkę, w beton. Światło pali się całą noc, głowami do karmuszki, do drzwi, żeby widział twoje nogi. Nóg zakrywać nie wolno, głowy zakrywać nie wolno, tylko kocem tak się przykrywał. Ubranie miało być złożone obok ciebie na taboreciku, też mocowanym tak... Myśmy przyjechali roztrzęsieni, nerwowi, wyczerpani. Chcieliśmy położyć się spać i nam światło przeszkadzało. To zaczęli na głowę się nakrywać. To zaczął [strażnik stukać w drzwi]. Tak wyszło, że ktoś butem rzucił z powrotem; chwycił but — "pójdiesz, skurczybyku...,, Zaraz rozległ się alarm, dzwonek. Przy każdym więzieniu, a zwłaszcza takim, jest szkoła oficerska albo inne koszary. We Włodzimierzu była szkoła oficerska. Ci panowie od razu wlecieli, wszyscy z ręcznikami; to są dzudowcy — mają pętlę. Możesz go bić, a on ci ją zarzuci i lecisz... Jak wskoczyło wojsko, to się rozległ [gwizd] i wszyscy nasi chłopcy po celach — "wal w drzwi!,, Wie pani, co to jest? Tam tyle cel, w każdej w drzwi "buch! buch!,, — całe więzienie się zatrzęsło. Myślą — co za szarańczę przywieźli?; takie echa idą. Przybiegł pułkownik, naczelnik tego więzienia. Otwiera naszą celę — bo u nas to znowu zaczęło się — "Wiecie, co my z wami zrobimy?,, A ja mówię — "Nic, nic nie zrobicie.,,

— "My tu nie takich już robili!,,

– "Tak, ale to byli kapitaliści wasi, inteligencja; a teraz wy macie klasę robotniczą. A klasy robotniczej wy nie przebijecie! Nie wydusicie, bo co będziecie robić bez klasy robotniczej?! Sami pracować?!,,

Popatrzał na mnie, słowa nie powiedział. "Proszę, żeby było cicho tylko. Pozwolić zgasić światło!,,

On zrozumiał, że tu przyjechała klasa robotnicza. Swoich tych wielkich mogliście dusić pojedynczo, a nas wszystkich razem – nie dacie rady!

Tym bardziej, że, dosłownie, jak zaczęliśmy stukać, to w pięć minut podłoga cała była zerwana, łóżka były luźne. Jak się wzięło kilkunastu ludzi za jedno [łóżko] – razem z podłogą podnieśli. Wszystko jest zharmonizowane. Wie pani, co złość daje człowieku? Jaką siłę, potęgę? A jeszcze jak głupia złość. Jezus Maryja! Można wszystko zrobić.

Ale nas zaczęli rozsadzać, jak po najmniej ludzi. Widzą, że tu jest potęga – wsadzili do dużej celi, nas sporo było. Ten mądrze zrobił, że nas rozsadził; może byśmy zarobili coraz więcej.

I tak żyliśmy. Wyprowadzali nas na spacer... Tu, w Sopocie, jest jeden pan, którego nawet tam chcieli zabić, na spacerze. Spotkałem go kiedyś i pytam się – "powiedz, co z ciebie za skurwysyn, że cię nawet w tamtym miejscu chcieli – przez pięciometrowy płot przeskoczyć – żeby zabić?,, Popatrzał na mnie – "ja nie wiem,, – "Przecież ktoś musiał wiedzieć, za co chciał cię zabić, a ty nie wiesz?,, To śmieszne...

Skończył się rok, dwa lata; przywieźli nas z powrotem do Norylska. A kto przyjmie taki transport? Obozy to nie wiedzą, co to za gagatki idą? Więc nas z powrotem do Norylska. Przywożą nas na "Piąty,, a bramy nie otwierają. – "Nam wy niepotrzebni,,. To nas na "Czwarty,, wiozą – "nie, brama nie będzie przyjęta, nie otworzymy wam,,. – "Weźcie choć kilku,,

– "Weźmiemy, ale do SZEZO,,. Wzięli mnie i jeszcze paru, do SZEZO zamknęli na klucz, w pojedynczej celi. Mnie na "Piąty,, wzięli. Tamtym opróżnili ITłowską zonę i posadzili ich tam.

Po paru dniach mnie na bytawoj, na ITłowski, do sztrafnoj – obóz mnie posłano. Przyszedłem tam. Byłem jak raz w pracy, a taki chłopak ukradł mi pewną rzecz, kiedy drzemałem sobie. Bo ja już nie pracowałem, miałem w nosie ich pracę. Przyszedłem do niego, poprosiłem, żeby mi oddał. On nie chciał, to wzięłem łom, przypasałem mu parę razy po grzbiecie, no to oddał. Ale przyszedł do zony i do pełnomocznowo poleciał. Upelnomoczny mówi – "ja nie chcę zatargu. Wy niepotrzebny! Wy jesteście GOR – łagu, więc won paszół do GOR – łagu!,,

I mnie przywieźli z powrotem do chłopców, do tego oddzielnego obozu, gdzie siedzieli. Ale tam nie było co robić. Zabili mojego kumpla; wyszli do pracy, zona jest zaznaczona kijkami z chorągiewkami, a po bokach idą żołnierze. I Żeńka Daniłow, moskwicz, mówi "choć no tutaj!,, Wyszedł za kijki, a on go zastrzelił. No i znowu zaczęło się.

Jak się zaczęło, to mnie znowu odprawili do więzienia do Jelca; koło Orła. Tam posiedziałem rok, niecały. Stale pisałem skargi – za co wy mnie, chamy, trzymacie? Com ja że

wam uczynił? Przyjechał do mnie prokurator z Moskwy. Woła mnie do piwnicy. — "Wysocki, generalna prokuratura rozpatrzyła twoją skargę. Anuluję tobie wyrok, ale podpiszesz warunkowe zwolnienie do Fergandy (Fergandzką dolinę); tam pojedziesz i tam będziesz mieszkał wolny,,

— "Nie wiem, muszę się zastanowić, pomyśleć,,

Odprowadza mnie dozorca do celi i mówi tak — "Wysocki, skąd ty masz nazwisko 'Wysocki'? Ty Polak?,,

— "Chyba tak,,

— "Teraz Polaków wszystkich wysyłają do Polski. A prokurator czego chciał? To w tej sprawie, nie?,,

— "No pewnie,,

— "I co, pojedziesz?,,

— "Pojadę,,

Przychodzę. W celi nas siedziało pięć osób. Jeden był Josek, Żyd. Mówię — "Josek, powiedz, co byś ty zrobił na moim miejscu?,, — "Wariat? Ty jeszcze powiedz, że ja Polak! Ty jedź, uciekaj stąd, bo cię zabiją! Ty nie będziesz tu żył. Z twoim charakterem ty zdechniesz,,

Na jutro woła mnie prokurator. — "To co, wypisywać tobie dokumenty?,, Miał już wszystko gotowe. Ja mówię, że — "nie, grażdanin prokurator, ja do Polski pojedę,, Jak on się zerwał, — "Ty na tamten świat pojedziesz, a nie do Polski. Won!,,

Przychodzę do celi. Kilka dni minęło, idziemy do łaźni. Stoi żołdat, ma patyczek i takie mydło rzadkie każdemu [rozdziela]; jednemu na plecy, drugiemu na łeb pacnie. Jak raz starszy korpusnoj — naczelnik więzienia — mówi — "Wysockowo nie stricz!,, Dozorca pyta — "Wysocki, dlaczego ciebie nie strzyc?,, — "Zapytaj, tobie bliżej do niego, jak do mnie!,, Poszedł, pogadał i mówi — "a, w Polsce jedziesz,,

Przenieśli mnie zaraz do drugiej celi — znowu do banderowców. Ja miałem szczęście... Czut' się smutnie wszystko nie skończyło, ale szczęście jak raz było, że — "Wysocki, sabirajsia s wieszczami!,, Zaraz mnie do etapu, do Moskwy i wylądowałem w Poćmie, w Mordowskiej ASSR.

Mordowia, Poćma. Skrzynka pocztowa 385. Poćma chyba pochodzi od słów, że tam ćma jest, opary wodne, mgła; "poćma,, po ichnemu. Strasznie biedny naród. Wszyscy chodzą na wojskowo. Jak grzyby zbierają, to jadą, od razu worek soli biorą z sobą, trzy, cztery beczki; olbrzymi kosz [grzybów] zrzucą do beczki, posypują solą i — to wszystko. Tak oni żyją tam. Bardzo biedny naród.

Tak, jak w Norylsku nie można było znaleźć ludzi wolnych na stanowiska wszystkie, tak w Poćmie było odwrotnie. Tam pracy nie było specjalnie, a więc wszystkich wolnych lokowano do pracy w obozie. Szczególnie wszystkie umysłowe prace były wykonywane przez wolnych.

Przywieziono nas na "Jedynkę,, – w samym centrum Poćmy. Poćma to niewielkie miasteczko; nie wieś, ale miasteczko. DEPO mają własne... Budowaliśmy fabrykę drzwi, okien; materiałów budowlanych.

Niedługo myśmy tam byli. Przenieśli nas do oddzielnego punktu; mam przypuszczenia, że to był karny obóz kiedyś. Nie był duży – przeznaczony na trzysta – czterysta ludzi, i posiadał bardzo duże więzienie. To był punkt przesylny, to więzienie. Wszyscy, którzy mieli być repatriowani, a więc Grecy, Irańczycy, Polacy, Żydzi, Afganistany, Niemcy, znaleźli się w tym obozie.

Było wiele narodowości, a więc – wchodzi sprawy religijne. Na jakiegokolwiek stanowisko wybiera się człowieka specjalnie wyczulonego na sprawy innych; sprawiedliwego, rzetelnego. Nie chcę mówić, że ja byłem naprawdę taki super caca, ale w każdym bądź razie ci, którzy mnie znali, wiedzieli, że byłem bardzo przyzwoitym człowiekiem. A szczególnie byłem uczulony na prawdę. Nigdy nie pozwoliłem sobie, nawet, jak byłem najbardziej głodny, żeby skrzywdzić kogokolwiek.

Mieszkaliśmy w pokoiczku, w trójkę. Leon Bożdański – miałem przypuszczenie, że on był złodziejem żydowskim; był Żydem z pochodzenia, ale jakoś to nie wyglądało, bo Bożdański i Leon... Drugi – Jakub Klajner, prawdziwy Żyd. Pochodził z Łodzi, jego ciotką była Zofia Szumorowska, koleżanka żony Gomułki. (Chciałbym powiedzieć o tej kobiecie niezwyklej.

Kiedy Niemcy przyszedli i brano ją do getta, to jej mąż, dzenny Polak, zebrał się razem z nią, stanął przy niej. Niemiec mu w mordę, mówi "raus! Ty Polak,, – "No i co? To żona moja, moje miejsce jest przy niej. Z nią razem pójdę,, I poszedł z nią razem do getta: przez cały czas byli w getcie i przeżyli szczęśliwie. I wyszli! Jakie poświęcenie ten mężczyzna zrobił! Z własną żoną poszedł na śmierć.)

Myśmy w trójkę mieszkali. Każda [z grup religijnych, narodowościowych] miała rabina, mułę, [swego przedstawiciela]. To wszystko się zebrało i doszli do przekonania, że Bożdański staje komendantem. Jego wybierają komendantem obozu. Na mnie mówią – "ty pójdziesz za szefa kuchni,,

Szefem kuchni było być bardzo trudno. Musiałem uwzględnić i muzułmanów [sic!] – że oni nie jedzą z tłuszczem świńskim; musiałem być ekwilibrystą, jednym słowem, pamiętać o wszystkich. I o wszystkich świętach. Dla mnie jeszcze sytuacja ta była dobra, że np. do więzienia etapowego (przesylnego) rano przychodzi do mnie 50 czy 100 ludzi, ja ich zaprowiantowuję; prowiant dostaję na nich (u mnie zapas zawsze jest), karmię ich, biorę na nich produkt, a oni w obiad pojechali. A mnie został i obiad, i kolacja. Jeżeli jest jakieś narodowe święto u muzułmanów, u Żydów, u innych, to mogę pozwolić sobie im zastawić stół; gratis. Wszyscy byli zadowoleni. Robiłem bragę piękną – cukier, troszeczkę mąki, drożdży (bo piekliśmy tam różne rzeczy), na ciepło, trzy dni i taka braga... Tam bimbru nikt nie pędził, ale braga taka była, że jak dwie szklanki wypił człowiek, to już miał dość. Co ciekawe, że to jak wino; i muzułmanin może wypić, i Żyd może wypić, i Polak by wypić – tylko daj. Bo to nie jest jakaś taka [byłe] wódka; to jest po prostu taki napój.

I myśmy tak żyli. Walczyli, z nożami biegali, ale żyliśmy w zgodzie. Bardzo polubiliśmy Greków – oni bardzo temperamentni ludzie, stale by walczyli, nie wiadomo z kim i po co; stale mieli noże w zanadrzu. Tak samo Afgańczyk, Irańczyk; oni między sobą to na pewno by się wyróżnili, tylko my w jakiś sposób staliśmy im na drodze.

Wielu Polaków było głodnych. Mieliśmy tam maszynę do obierania ziemniaków, ale ona zostawiała oczka. Więc mówiłem: –”dzisiaj sześciu, siedmiu z tego pokoiku – przyjdziecie do mnie obierać ziemniaki, oczka dłużyć...”. A jeden szatkował ziemniaki, na dużą blachę rzucał łożowatego smalcu i te ziemniaki smażył. Wszyscy się najedli tak! do syta. Jutro inni. Proponowałem tak samo innym narodowościom – jeżeli macie głodnych, którzy potrzebują pomocy, odżywić się troszeczkę lepiej, proszę bardzo; wybierzcie dzień, przyślijcie ich, niech obiorą i najedzą się do syta.

I tak, jak np. ugotowało się obiad, a ci pojechali, zupa była już gotowa dla nich (od rana się gotowało), to mówiłem mulle czy rabinu –”masz tam ludzi, to niech podejda jeszcze, najedzą się sobie...”, Wszyscy cenili i szanowali. Nie było stronniczości, że jedną narodowość wyróżniam, drugą potępiam. Wszyscy byli zadowoleni ze mnie, wszyscy się cieszyli z tego wyboru, tylko nie Polacy.

Kiedy byłem w pracy, Polacy podkopali mnie pod barak, pod podłogę – zobaczyć, czy ja tam nie mam jakiegoś magazynku. Kiedy pytam się –”dlaczego?,, –”A skąd ty to bierzesz? Robisz bragę, zastawiłeś stół tym, tamtym; a skąd ty to wzięłeś?,,

Rabin mówi tak do mnie: –”Jak jeden człowiek gdziekolwiek pójdzie, to my wszyscy jesteśmy zadowoleni. Już jedna gęba mniej. My wszyscy, dziewięćdziesięciu, ilu nas jest, tego jednego będziemy pchali do góry. A u was odwrotnie. Jak tylko jeden stanie, to tych dziewięćdziesięciu będzie go ciągnąć w dół. Ty przecież nic nie bierzesz dla siebie!,,

Trwało tak troszeczkę; potem nas odseparowali, zrobili zonę tylko polską, przy dużej zonie. W ogrodzeniu zrobili bramkę, przez którą mogłem tylko ja przechodzić, mając potrzebę kontaktować się z tym czy z owym. Bożdański pojechał do domu, więc w tej zonie postawili mnie komendantem. Tak mnie tylko nazywano; byłem po prostu starszym w zonie. Starszy grupy – tak mnie się faktycznie traktowało. Moim zadaniem było prowadzić bieżące remonty, pilnować, żeby żywność była dostarczona do kuchni i ugotowana w czasie i w normie, zabezpieczyć potrzeby współtowarzyszy – jeżeli któryś chciał coś kupić, to składali do mnie zamówienia na kartkach, dawali pieniądze; ja wychodziłem za zonę i kupowałem im. Moim obowiązkiem było kupować wszystkie produkta – miody, świnie, co tylko jest, dla nich, do użytku, wedle ich potrzeb, odpłatnie. Wszystkie prace, które wykonywane były w zonie przez Polaków, miałem opisać, zanieść do grupy normowania, dopilnować, wypłacić itd. Do tego miałem jeszcze bibliotekę – wypożyczałem.

Było u nas sporo ludzi niedołężnych. Nie wszystkim los pozwolił dotrzeć do chwili wolności z rękoma, z nogami albo przy zdrowiu jakim. Byli ludzie ułomni; jeden miał nogę uciętą, drugi rękę sobie gdzieś urąbał itd. Nam należała się praca 100% odpłatna. Nie obowiązywała nas praca wykonywana poza zoną, w grupie normowania. Wychodziliśmy i ocenialiśmy pracę – jeżeli jakiś dyrektor zlecał nam pobudowanie czegoś lub wymianę belek czy podłogi, to ja i np.

dwóch stolarzy szliśmy, oglądaliśmy, oszacowali i mówili, że "tę pracę wykonamy np. za 20 tys. rubli w ciągu tygodnia. Jeżeli będzie wcześniej zrobiona — co my dostaniemy? Gratis coś,, — "No, w porządku,,. I naszą było rzeczą, czy my za dwa dni zrobili — a robiliśmy zawsze na 100% cacy i szybciej. Pieniądze szły czysto na rączki, każdemu. Była umowa między nami, w tej grupie, że każdy dostaje równo i pracuje równo. Jeżeli będzie się wykręcał, chytrył, to jutro już z nami nie wyjdzie; koniec miłości. Więc ta praca była rzetelna, nikt nie patrzył na drugiego. Jeden drugiego poganiał. Przecież nie było bogaczy, ludzie byli biedni, a każdy chciał cośkolwiek do domu przywieźć i pokazać, że jest człowiekiem.

Przyglądałem się ludziom kalekim i nie wiedziałem, w jaki sposób im pomóc. Kilku ludziom znalazłem zajęcie. "Jest palenisko, drzwiczki często się ruszają; odpadnie tynk, to żeby zawsze było zalepione gliną i wapnem zamalowane, żeby było czysto,, — "Ty chochle kucharzu będziesz strugał,, — "Ty wodę będziesz wylewał,, bo beczką przywozili, kranu nie było. Każdemu naliczyłem i każdy dostał trochę pieniążków. Ale byli jeszcze tacy, którym nie starczyło pracy. Ale od czego, jak to mówią "ruska głowa,,? Przyglądałem się normowszczykom; był taki zastępca księgowego... Kiedyś zapaliliśmy z nim po papierosku, mówię — "słuchaj, u ciebie nigdy nie nabiera się nadmiarów, sliszek, nic?, On się zaśmiał — "a skąd ty wiesz o nadmiarach?, [przerwa w nagraniu]

— "Ja bym znalazł dwunastu,,

— "W porządku; bierz 40%,

Ja — "no to stoi!,

— "Podaj mi nazwiska,,

Przychodzę do siebie do zony, podchodzę do kalek, pojedynczo — "Posłuchaj, mógłbym ci pomóc, ale pod warunkiem, że będziesz pysk miał krótki, że nie będzie gadania i chwaleń. Bo ja pieniędzy nie dostaję, to ty dostajesz pieniądze, tylko 40% z tego będziesz musiał zwrócić,,

Tamten facet wiedział, co robi, jego by posadzili, bo to był wolny. Wiedział, ile by dostał za takie kanty. Była lista i moi inwalidzi co miesiąc podchodzili, po jednym, podpisywali i kasowali. A reszta tak patrzyła... — "A ty gdzieś pracowałeś, że...?, W moim pokoiczku wypłacali; kasjerka, gdyby to słyszała, to by było kiepsko. Dlatego pilnowałem, żeby drzwi [między moim pokojem a barakiem — to było na końcu baraku] były zawsze zamknięte; [wychodzili drugimi drzwiami, na zewnątrz]. Ale wreszcie przychodzą do mnie: — "Skąd ty bierzesz pieniądze na nich?,

— "Chamy, co to was obchodzi?! Przecież ci to są ludzie, nie? Ty zarabiasz, czy ty dasz mu kiedy chociaż jednego rubla? Czy zapytałeś się u niego, czy ma na papierosa? On stale musi ci zaglądać w oczy i przypominać, że jest biedny, że, cholero, daj! miej litość!,

Jedni zamknęli mordę, a drudzy nie. Ale wszystko to jakoś szło. Aż znalazł się taki Jocz, Wacek. Oficer czy podoficer, starszy, jeszcze przedwojenny. Koniecznie chciał się wysłużyć; on się bał, że mogą go nie puścić do domu. A może chciał mieć pewność, że go puszczą? Kto go wie. Zaczął po prostu donosić operupolnocomu, że Wysocki książki biblioteczne sprzedaje, że jakieś kanty robi, zatrudnia ludzi, którzy nigdzie nie pracują itd, itd. Kiedyś go spotkałem tutaj, wiele lat temu. Idę na Gojki [ulica?], wychodzę, on mnie w łeb. Stał jak

wkopany, zrobił się blady zupełnie; myślałem, że zawału dostanie. Ja go poznałem. U mnie myśl błyskawicznie pracuje; myślę, czy mam go rąbnąć, czy zostawić? Po co mnie gówno potrzebne, i przeszedłem. Przeszedłem chyba z 200 metrów, on jeszcze stał, nie mógł opamiętać się; nie mógł dojąć do siebie. W życiu nie spodziewał się, że mnie spotka. A ja co miałem robić? Bić go, pouczać? Co to mi da — po czasie? Co z tego?

Zaczęła się na mnie nagonka. Stale doszukiwano się czegoś; jak idę z zakupów, to sprawdzano moje worki (tam furmanką podwozili mnie). Widzę, że za wiele oni przydają znaczenia, uwagi mojej osobie. Ja bym się tego nie dowiedział... Zapomniałem nazwisko pułkownika, naczelnika tego obozu... U niego zmarła żona. On był Mordwinem. Bardzo kochał swoją żonę, a był samotny. Zrobił się taki bezradny. Tam nie ma przedsiębiorstw pogrzebowych, wszystkim człowiek musi sam się zająć. To jest tak uciążliwe, szczególnie dla człowieka starszego... Jego ta śmierć przybiła, on nie mógł sobie poradzić. Przychodzi do nas, do zony, mówi — "Wysocki, żona u mnie umierła,.. Ja mu składam kondolencje, a on mówi — "chciałbym pomocy twojej trochę. Masz tylu ludzi, może by oni pomogli? Dam dwóch żołnierzy; niech pojedą, jodełki utną, wianuszki zrobią,.. Ja mówię — "panie pułkowniku, proszę to wszystko zostawić mnie, tylko przysłać do mnie konwój,.. Skrzyknąłem chłopców — "musimy mu pomóc,.. Zaraz się znalazł spawacz, dostarczono aparat, znaleziono żelazo, zrobiono krzyż. Zaraz przyjechał konwój z samochodem, załadowaliśmy ludzi, pojechali do lasu, nabierali kwiatków leśnych — tam jest bardzo bogata tajga. Ludzie porobili wianki... Ile myśmy dali serca... On jak przyszedł i spojrzał, to zapłakał. "Ja nigdy nie myślałem, że wy potraficie być tacy serdeczni do nas, do swoich wrogów,.. Widział ten krzyż, ale nic nie powiedział. Krzyż postawili na grobie jego żony. Zrobili wszystko. Powiedziałem mu jeszcze, że jeżeli dostarczy nam blachę odpowiednio grubą, to zespawamy ją odpowiednio, obmalujemy i postawimy na ziemię [na grób], żeby wyglądało. Tak się zresztą stało.

Zaskarbiłem [sobie] serce tego człowieka; on nie tylko polubił mnie, ale polubił w ogóle Polaków. Powiedział tak; — "przyjdzie czas — wy pojedziecie, ale gdybym mógł was zatrzymać, dałbym wam materiał na domy; niech każdy z was pobuduje sobie bezpłatnie domy, dziewczynki znajdziecie, ożenicie się. Żyjcie, żebyście mogli przysparzać nam radości, wybawiać nas z kłopotów. U nas nie ma takich ludzi,..

Kiedyś on mnie właśnie woła. Siedzi uppełnomoczny u niego. On mówi — "Wysocki, co u ciebie się robi w zonie? Ponoć ty książki kradniesz, sprzedajesz, a komu? Ponoć ty tam jakieś złoto, jakieś szmugle robisz, chodzisz niby zaopatrujesz ludzi, a zajmujesz się jakąś kontrabandą; wynosisz stąd tam, stamtąd tu..., Mówię — "nie wiem. Zapytajcie u tego, kto was informuje; niech powie kiedy? — idźcie, zabierzcie. Kierownik KWCze — Kulturalno Waspitannej Czasti może przyjść sprawdzić po księgozbioru. Ludzie, ja czekam na wolność; po cholere mi książki?,, Operupełnomoczny bierze ten donos — "weź i przeczytaj!,, Przeczytałem — Jocz. Mówię — "No co ja mogę zrobić? Nic.,,

— "Ale ty — mówi — pilnuj się trochę. Jak widzisz go, to goń.,,

Co ja go będę gonił, gdzie? jak to jest jeden barak, parę sekcji...

Jakoś nie udało się dojść do tego. Wszystko było cacy, wszyscy otrzymywali pieniądze.

Był taki Sakowicz Józef... bardzo niedobry człowiek [...] Kiedy rodacy chcieli go pobić — nie wiem, jak on by na tym wyszedł, bo kiedy bije jeden, to jako tako, ale jak bije np. dwudziestu, to już kiepsko — to po prostu powiedziałem — "chłopcy, nie ruszajcie go. Zrobił źle — wypędźcie go ze swojej brygady, ale nie ruszajcie. On też chce żonę zobaczyć i dzieci swoje; pozwólcie mu na to.,, Oni tylko tego posłuchali. Ale to był bardzo zły człowiek.

Kiedyś przychodzi do nas nauczycielka. Niby dawna Polka, córka zesłanego Polaka, zamieszkała w Poćmie. Mówi — "nam mieli szkołę wyremontować; po dzisiejszy dzień jest niewyremontowana — dzieci nie mogą przyjść, grozi zawalem.,, Mówię — "dobrze, ale niech pani powie to moim chłopcom; ja pani tylko ułatwię.,, Przyszli wszyscy z pracy, przychodzi nauczycielka. Wyszlismy na dwór i ona mówi, że "w imieniu dzieci — prędko już będzie wrzesień — prosi Polaków, żeby szkołę im odbudowali. Naczelna władza tylko drzewo przysłała.,, A chłopcy uczuciowi są. — "Odbudujemy szkołę.,, Ona mówi, że nie ma pełnych pieniędzy i nie wie, na co może liczyć z kuratorium; a chłopcy mówią — "z kuratorium to my się dogadamy; gorzej tylko, żeby nam konwój dali.,,

Poszedłem do pułkownika i mówię — "koledzy moi umówili się z przedstawicielką waszej szkoły, że odbudujemy szkołę, pomożemy waszym dzieciom.,, To była drewniana szkoła; trzeba było pięć, siedem wianków od dołu zmienić; to było sporo. Zgniły belki, na których leżała podłoga. Tam było DEPO olbrzymie. On nam dał konwój. Poszliśmy do naczelnika DEPO, powiedzieliśmy [wszystko] i pożyczylismy podnośniki (oni mają silne podnośniki); podnieśliśmy kawałek szkoły w powietrze, założyliśmy fundament betonowy, jak się należy, belki wymieniliśmy, posłaliśmy podłogę, wymalowali, wyprostowali wszystko. Mordwini nazwali [to] "Polską szkołą.,, Dzieci, kiedy przyszły do szkoły na wrzesień (nie 1 września była szkoła, tylko parę dni później) — cała brygada stoi, a oni tak nam pięknie odśpiewali piosenkę, podziękowali, powiedzieli, że od dzisiaj to się będzie nazywała "Polska szkoła.,, Taką my pamiątkę zostawiliśmy w Poćmie.

Kiedyśmy odjeżdżali — jak raz samochód; Jocz został. Kilkunastu wsadzili nas do autobusu, a półkownik mówi — "a ty, Wysocki, pójdiesz piechotą; przejdź i pożegnaj się z Poćmą.,, Razem z nim idziemy; wstąpiliśmy do niego do domu. Nalał mnie jeszcze kieliszek, pożegnał się, popłakał — "żebym ja mógł kiedykolwiek jeszcze takich ludzi mieć u siebie!.,,

Po mnie potem przyjechał Heniek Jarocki [?], chyba dwa lata potem; został tam. Też dziwny miał facet los... Był w Kedywie w AK. W 44r., pod koniec, kiedy już był rozkaz o rozejściu się, jego żona była na Śląsku z dzieckiem. On pojechał do żony, a ona miała już kogoś i po prostu oddała go służbie bezpieczeństwa. I służba bezpieczeństwa przysłała i zabrała. Aresztowali go, było śledztwo, ale bardzo krótkie i skazali go na rozstrzelanie, na śmierć. Dowiedzieli się Rosjanie, że on działał na ich terenach, był tam dowódcą Kedywu, a więc łobuz nie z tej ziemi, i zaprotestowali. Powiedzieli, że to ich człowiek, bo on rodził się też w Grodnie. "Oddajcie go nam!.,, I zabrali go. Osądzili go w Związku Radzieckim; dostał wyższy wymiar kary, a Kalinin mu zamienił na 25 lat katorgi. I on też przyjechał do GOR—łagu, na 25 lat. Potem, jako Polaka, jego znowu... I tak Rosjanie właściwie go uratowali. Ja mówiłem mu — "ty

powinieneś się cieszyć, bracie, że Ruski jeszcze byli, bo Polaki by cię zabili; nawet śladu by po tobie nie było,, On jeszcze został; był też na tym punkcie. Dopiero potem przyjechał.

Pyt: Proszę powiedzieć o podziałach wśród więźniów, o stosunkach między kryminalistami a politycznymi.

W świecie "kryminalistów,, jest kryminalista "zwykły,, i "złodziej,,. Kogo nazywają "złodziejem,, — tego, kto kradnie. Ale kto jest prawdziwym złodziejem — w pojęciu sowieckim, kryminalnym? Ten, kto żyje ze złodziejstwa; ten ma prawo nazywać się "urką,,. Urkę obowiązują pewne przepisy: on nie ma prawa zabrać chleba zakluczonemu drugiemu. Wszystko, co dane państwem, co wchodzi w pajok jego, on nie ma prawa ruszyć — to jest święte dla niego. Jeżeli brygadzysta czy inny nadużywa siły wobec więźnia, ma prosto obowiązek nie dopuścić do tego, żeby w imię pracy czy w imię kaprysów sowieckiej władzy maltretowano czy ponaglano człowieka zwykłego. Nie ma prawa pracować przy ogrodzeniu zony lub jakiegokolwiek pracy wykonywać, która by pomagała w utrzymaniu go w tym obozie.

Człowiek, który sprzeniewierzy się obowiązującym przepisom, zostaje "suką,,. Suką nie może być nikt inny, tylko ten, kto był poprzednio złodziejem, "worem,,. Są suki, którzy "zawijają,, — kiedy sprzeniewierzyli cokolwiek, pozostawiają tę sprawę przeszłości "zawiazaną,, na amen i zapominają, kim byli; on staje się po prostu normalnym człowiekiem pracującym. Są [tacy], którzy czują się lub uważają, że zostali skrzywdzeni, a więc idą na władzę. Idą do pracy z upelnomocnym czy idą do milicji; stają się jakby odwrotną stroną, starają się zemścić się, jeżeli można to tak nazwać.

Kto to są "polacy,,? Wszyscy, którzy nie byli złodziejami, a starają się przysłużyć władzom w różny sposób — obojętnie jaki i obojętnie przeciwko komu. W większości składa się to z żołnierzy, z innych; każdy może zostać, jeżeli ma trochę odwagi, nie boi się, że za przynależność do polaków dostanie kiedyś w łeb.

Polacy i suki nie mają żadnego związku, żadnych organizacji, które by ich jednoczyły. Każdy z nich żyje dla siebie i wspomaga drugiego, jeżeli jest razem; byli jakby uzależnieni od siebie. Natomiast urki — złodzieje, mają pewne zasady. Zasady straszne, w tym pojęciu, że mają narzucony rygor. Każdy, gdzieby nie przyszedł, musi natychmiast powiadomić drugich, że on tu jest. Jak przyjechał gdzieś do zony, musi natychmiast powiadomić w zonie — dowiedzieć się, czy w zonie są złodzieje, jeżeli są, to powiadomić, że on przybył. Tamci mają obowiązek zaopiekować się nim. Gdzieby nie był, każdy dzień jest rozliczany. Gdziebyś nie przyjechał, to pytają "skąd przyjechałeś?,, — "Z Noryl — łaga,,

— "Z jakiego oddzielenia?,, — "Z tego,,.

— "Kto tam był?,, I musisz wyliczyć. Jeżeli tamtego spotkają któregoś, a tamten nie wyliczy ciebie — to już będzie kiepsko. Kontrol, żeby nikt się nie zaprzepścił.

Przepis zakonu powiada, że wszyscy złodzieje, urki, są równe. Ale nigdy równych nie było. Są tacy, którzy kradli z kieszenia, są, którzy robią milionowe sprawy, są ludzie z wyższym wykształceniem i są bez wykształcenia, nie umieją nawet się podpisać. Jest organizacja, która

prowadzi ścisłą — pocichu — współpracę z urczem. I jeżeli np. do tego obozu posłali dziesięciu złodziei, a wiedzą, że tam jest trzydziestu suk — urcz natychmiast pośle zaraz za nimi jeszcze dwudziestu czy trzydziestu złodziei, lub tamtych cofnie, przerzuci w inne miejsce. Wszystko to robiły pieniądze. Są ludzie, którzy specjalnie tym się zajmują. Wszystkie wiadomości, jak na wolności, tak i w obozie — wszyscy są o sobie powiadomieni. Takiej organizacji ścisłej i tak współdziałającej ze sobą chyba na świecie nie ma.

Na Kołymie, w pewnym karnym więzieniu, był pewien komendant, do którego nikt nie mógł się w żaden sposób dostać. A on działał prawem kaduka; wszystko, co tylko chciał, robił. Był taki Borys Mogilowa, który pojechał tam. Urcz go posłało, bo zdecydowali, wypadło na niego, że on ma go zabić. On pojechał stąd, z Mogilowa, tam, żeby go zabić. I go zabił. Trafił do więzienia; kiedy był obchód, on miał w odbytnicy nóż schowany. Trzasnął go w tętnicę, i już. Kiedy go pobili, to udał wariata i głuchoniemego. Pięć lat go wożono — był stale głuchoniemy. A co nie robiono! Tak grał rolę swoją, tak artystycznie. Nikt nie mógł go w żaden sposób zaskoczyć. Po pięciu latach przemówił, w Norylsku właśnie. Wieźli go t a m, ale go zona nie przyjęła — bo, znowu, urcz: kazał chwilowo oddać do GOR — łagu, do więzienia, do obozu naszego. A ja z nim kiedyś jechałem razem; teraz mówią mnie, że przyjechał urka. To idę; zawsze musiałem im jakoś pomóc, skoro sam, w pewnym sensie, wybrałem, że ich zasady są najbardziej uczciwe w obozie. Tak samo oni mnie szanowali zawsze. Z wszystkich te zasady były najlepsze.

Pyt: To znaczy można było, będąc politycznym, zostać...

Nie, niczym nie można było zostać; można było być po prostu sympatykiem ich. Można było dzielić ich prawdę, ich zasady i nie zostać nikim. Oni [tego] tak samo szanowali i cenili, bo liczyli, że tak, jak oni tobie pomagali we wszystkim, gdzie się nie znalazłeś, tak samo i to... Bo jeżeli np. złodziej idzie do obozu tego, to mu mówią — "tam będzie taki...; pamiętaj, jeżeli nie będzie drugich, to zwróć się do niego. To też jest nasz sympatyk... On przyjeżdża i do ciebie się zwraca jak do równego: — "jestem, byłem z tym i z tym, którego ty znasz... To są takie ślady rozpoznawcze — jeden drugiego poznaje i wie.

Pyt: A donosiciele, jak i kto ich likwidował, skąd w ogóle się brali — było to dosyć niebezpieczne zajęcie

O Jezus, ile ich było! Żeby dostać jakąkolwiek posadę w obozie, trzeba czymś się zasłużyć. Przeważnie — z licznych dzieł, z akt personalnych — każdy naczelnik, operupelnomocznik, wie, kto przychodzi. Starają się w obozie postawić człowieka, który był związany ze służbą bezpieczeństwa, z NKWD, z owym; jego postawić najbliżej. On, w zasadzie, chce, nie chce, musi mówić. Bo jest z nimi związany, stawiają go po to, by miał dozór, oko, i mówił. Ale czasami bywa tak, że łaskę straci i posła go do pracy zwykłej. Ale nie przestaje być "siksotem...; pozostał nim. Jest zwykłym robotnikiem, ale nawyk pozostał, bo liczy na to, że jeszcze raz ktoś

się nad nim zlituje i udostępni mu jakąś ciepłą posadkę. Czasami bywa tak, że komuś wlezie w kość i czymś mu przygrzeją. I tak się rozliczą.

Są różni ludzie. Np. na Józefa Dąbrowskiego — ktoś tam nagadał. On nawet jeździł, dowiadywał się o jego adres. I co tego człowieka zmusiło do tego? Naprawdę jest trudno powiedzieć. Często operupelnomoczny woła do siebie człowieka, nawet nie wiesz na co i po co. Pyta — "co tam robi się w brygadzie? A co tego, owego...?", I jeden potrafi coś powiedzieć, żeby nic nie mówić, a drugi coś powie; potem on go z powrotem zawoła, coś mu da, myśli, że tego nikt się nie dowie... I człowiek się staje...

W życie obozowym były związki między silnymi a słabymi; między potrzebującymi a mającymi. Różne układy bywają. Czasami to bywa podłożem, że pokrzywdzony się ktoś czuje. Trudno powiedzieć, jakie mechanizmy działają na człowieka, żeby stał się siksotem.

Pyt: Czy słyszał Pan cokolwiek o polskich żołnierzach z września, którzy mieli znaleźć się w Norylsku i zostać tam zastrzeleni?

Wspominałem już o Pszenicznym, spawaczu. On jeszcze spał w pałatkach. Ale nigdy nie słyszałem od niego czegoś podobnego. Tam nie strzelali ludzi. Były przypadki, tak jak tego Heńka, Żeńki Daniłowa, czy potem drugiego takiego, że w podobny sposób zastrzelili. To też nie wytłumaczone, czym się kierował ten żołnierz, co miał w zanadrzu; czy on mu kiedyś na odcisk nadepnął czy co. Tam po prostu ludzie umierali sami, nie trzeba było ich zabijać. A rąk do pracy zawsze było mało. Ja nie słyszałem o tym.

Przyjechałem w 48 roku; mój numer B-537, a więc jestem w drugim tysiącu. Ktoś by przecież do 48 roku został, kto był w 40 i trafił by tam właśnie. Jak po obozach jestem, to nie interesuję się ludźmi, ale ja ich wszystkich znam. Czym kto dysze, co kto wart. Mam takie spojrzenie, że wystarczyło tylko wejść i trzydziestu od razu "sfotografowałem,, i każdego wiedziałem, co można o nim powiedzieć. Ja nie spotykałem takich rzeczy. Dla mnie zupełnie obcy temat. Tym bardziej, że z Pszenicznym bardzo wiele rozmawiałem. Np. jak założyli tylko elektrownię i puścili pierwszą rurę — w niej jest kilkadziesiąt atmosfer ciśnienia; zrobiła się w niej szczelina. Gdzieś było niedopatrzenie. Wołają właśnie Pszenicznego i mówią — "załataj ją!,, — "A jak, nie wiesz? Podgrzeję, a ciśnienie rozepże? I co? Już mnie nie ma. To za co ja mam wam łątać?,, Wszystko mu obiecali. On miał sporo lat na grzbiecie. Mówi, że może spróbować załatać, niech tylko zmniejszą troszeczkę ciśnienie, — "ale będę miał za to zdjęte trochę z siebie,,. Powiedzieli mu, że "dobrze,,. On to załatał, zrobił, jak się należy; zdjęli mu, ale siedział dalej, bo co? Potem już skończył siedzieć, to też został na miejscu. — "Gdzie ja pojedę? Kto mnie czeka? Nikt.,,

Ale o Polakach...? Tak daleko Polaków chyba nie wieźli. Owszem, słyszałem, że w Krasnojarskim Kraju tak, sporo było; koło Irkucka, Wierchojańska, Tobolska, Omska, Tomaska, nawet gdzieś koło Czelabińska ponoć w tych górach, zawozili, ale do Norylska to nie. Przynajmniej ja nic o tym nie słyszałem.

Anglicy, Niemcy zaopatrywali się w wiele rzeczy w Związku Radzieckim. Murmansk, Archangielsk, Dudzinka, a więc i Norylsk; tam w delty zachodziły statki. W obozach dawniej była taka instytucja, jak chodzący kat, z siekierką. Miał taką specjalną kłódeczkę, miał siekierkę ostrą, i np. jeden paluszek uciąć to kosztowało 200 g chleba, a np. cztery czy trzy palce na pół – pajkę, 700 g chleba, czy tyle tam papieros. Nie każdy to potrafił, nie każdy umiał tak trafnie odmierzyć, jak byś ty chciał. Czasami chciałeś t a k, a uciął ci więcej. To była samoobrona ludzi. Byli tak wycieńczeni pracą, że gotowi byli ofiarować palec, żeby chociaż tydzień poleżeć w ciepłym. Byli ludzie, że te urąbane ręce, kiście całe – pisali list i wsadzali w te palce i posyłali razem z towarem za granicę; z węglem, z drewnem, rudą czy co tam szło. Odnajdywano to przy rozładunku – te urąbane ręce, które wołały o pomstę do nich. Właśnie [wtedy] powstał taki [pomysł], że politycznych trzeba odseparować od ITŁowców – dlatego, że dzieje się krzywda. Chcieli zrobić im inne warunki, ale stworzyć wiele gorsze; takie, żeby w ogóle nie było możliwości życia. Że nie wyszło? Że było inaczej? To tylko dziękować Bogu! Ale było to wyzwane właśnie t y m. I stąd właśnie Mojsiejenko: inżynier pracy, pilnujący spraw robotnika. On nigdy nie pilnował, jemu wisiało to wszystko. Po prostu liczyło się, że taki jest na etacie; nie wolny, który mógłby oszukać, ale właśnie zek! Pułkownik, z wykształceniem... Sprawował pieczę; był kontra wolnym, więc najbardziej wiarygodny.

Właśnie te sygnały cały czas alarmowały świat, że w Rosji dzieje się bardzo źle, że w Związku Radzieckim na prawdę czyni się krzywdę ludziom.

Ja byłem kiedyś za Wielikim Uściugom, w Wołogodskiej obłasti. To były lata najstraszniejsze. To, co w Norylsku było, to było rajem w porównaniu z tymi latami. To był 45–6 rok. To było straszne. Za kawałem chleba mogłem księżniczkę mieć w łóżku. W obozie to jeszcze chleb jako, tako – mało, bo mało, zły – ale dawali. Bo było się na wyżywieniu naczelnika. Ale na wolności – tam nie ma wyżywienia, tam sobie znajdź i kup!

W Mordowii luksusem było kupić "szaliki–pistryki,, To jest ze słonecznika, z trawy zmielona mąka, wysuszone; dodane do tego obierzyny z ziemniaków czy ziemniak razem z obierzynami. Może kropelkę kukurydzianej mąki. To zamieszane, zrobiony taki lepieszek. Są takie grzyby, syrojatki (cukrówki, one są jadalne; bez soli, bez chleba, można na surowo je jeść). Na to ciasto kładli grzyb i to się piekło. To sprzedawali. Przychodzili pod zonę sprzedawać. Tam nie było gdzie i jak uciekać; czasami z konwojem się wyszło. Mieli "karuszki,, – tytoń. Czasami miał człowiek schowanego jakiegoś rubla, dwa, trzy. Mówię – "ile kosztuje szklanka karyszkow?,, – "Półtora rubla,, – "Daj mnie paławinu,, – "Nie,cełyj!,, Ona nie wiedziała, ile jest połowa. Półtora rubla czy cały – ona wiedziała, ale pół tego? To tajemnica, tego się nie uczyła. To, powiadam, poza zoną.

W zonie natomiast... To strach nawet myśleć. Po chleb chodziła cała brygada. Cała! Bo jeżeli po skrzynkę z chlebem poszło dwóch czy czterech, to druga brygada napadła i zabrała. Jeżeli ktoś dostał kilka razy pod rząd garbuszkę (okrajek), to go można zabić było. I zabijali! Za to, że okrajek dostałeś. Można sobie wyobrazić, w jakim stanie musi być człowiek, który gotów zabić z nienawiści, żeś ty dostał okrajek, a on ten surowy, miękki środek! On go połknie cały i nie ma nic, nawet zęby nie mogą poruszyć się, pogryźć, a ten będzie z taką radością

twardą skóryneczkę gryz!! Czy wie pani, co to znaczy? Jakiego upodlenia człowiek musi dojść!?

Lekarze. Pamiętam, kiedyś przyszedł etap basmaczy. Czeczeny, Inguszy, Lizginy, Kabardyncy, Asetyńcy, z Gruzji; oni zajmowali się przemytem. Przechodzili górami, handlowali. Każdy z nich miał papachę — czapkę z karakułu. Czasami mieli duszogrejki — bezrękawki karakułowe. Dywani, na których się modlili; to bardzo religijni ludzie. [W obozie] był taki Kostenko, naczelnik san — punkta. Nie był lekarzem; był felczerem. Miał ze sobą Marusię; żył z nią, ona była pielęgniarką. Basmaczy przyszedli, to jak raz zima, bardzo kiepsko, nieprzytulnie. Oni przyzwyczajeni do ciepła. Zawsze żyli w niezgodzie z prawem, obowiązującym w tym kraju; uważali, że tu też "błat wysze sawnarkoma,,. Że za to, co oni jeszcze posiadają, mogą się uratować, choćby do lata. Przychodziło się i cos się dawało temu Kostenko. On mógł dać dwa czy trzy dni zwolnienia lekarskiego. Głównym nariadczykiem był Gajdrych, Żorka. Nariadczykiem był Jan Basztaboj, a pomocnikiem nariadczyka był Rafał, nazwiska nie pamiętam; to młody chłopak był, uważam, że oni trzymali go jako dziewczynę, żeby nie chodzić, nie szukać w nocy, to on spał razem z nimi. Ci ludzie mogli zdecydować, w jakiś sposób zaprotestować; tym bardziej, że urcz był w naszej zonie. Urcz — ta w ł a d z a, niekontrolowana i bezkoniczna! potężna... Nikt nie wie, jaką potęgę miał urcz! Ale basnaczy nie wiedzieli, gdzie szukać ratunku. Gdyby np. poszli do Żorki Gajdricha czy do urcz, to by dostali przeniesienie do obozu na południe — dopokąd mieli coś. A oni szli do Kostenki, paskudnika, on ich kierował do szpitala. W szpitalu dawali im chałacik, gatki, a rzeczy wszystkie do woreczka i do kapciorki, do przechowalni. Oddawał rzeczy, on dawał mu lekarstwo, trzy dni biegunki i trup. Pod bramę, ostrym przekłuli go, że nie żyje i pojechał! Lekarze tak załatwiali tych wszystkich i brali z kapciorki te rzeczy dla siebie. To lekarze!

Jeszcze taka sprawa. Starszy dozorca Fokin wchodzi do upełnomocznowo i powiada, że X zabił Y. Ten mówi —"i dobrze, pochowajcie go,, —"A co Xa?,, —"A co mu zrobisz? Y wstanie? Chcesz go od pracy zwolnić? Niech pracuje!,, Ale przychodzi drugi i powiada, że tam się bili i zranił go. —"Oo! Tego to posadź; dajcie mu dobrze w pieprz!,,

Zabić to jest normalna rzecz — jednego mniej, jednego więcej, jaka komu różnica?! Ale zranić człowieka, by on się żywił, jadł i odpoczywał — nie! tego nie wolno! Dla wszystkich, którzy poucinali sobie ręce i inne rzeczy, zrobili olbrzymie sanie. Szleje (sznurki) nakładało się przez piersi — to siła pociągowa. "Myśleliście, że będziecie odpoczywać; nic z tego!,,

Pamiętam, jak jechałem etapem do Wołogodskiej obłasti, przywieźli nas pod Wielikij Uściug — to jest takie cudowne miasto zsyłki dawnych przeciwników cara, z rodziny carskiej.[...] To jest miasto samych cerkwi, klasztorów; nad Dźwiną, bardzo stare. Wyrabiają tam koronki najpiękniejsze na świecie, emaliowane rzeczy, srebrną inkrustację. Bardzo wielu jest tam starowierów i dobrych fachowców. A Wołogodska tajga to chyba jest najbardziej dziewicza jeszcze.

Nas przywieźli, wagon oddzielili i zostaliśmy sami. Jeden wagon nas był, niewielu ludzi; chyba z trzydziestu. Żołnierze, którzy z nami byli, też byli letnio ubrani; nie spodziewali się, że ich zima złapie po drodze. A był siarczasty mróz. Mieliśmy malutką pieczkę, z cienkiej blachy, a palić nie było czym. Rozbieraliśmy nary; deski czterdziestki. Między dwie te deski wsadzało się coś, że ogień miał możliwość palenia się, rozerwaliśmy paszczę tej ciepłuszki; po dwoje siedzieliśmy, deski u nas na plecach leżały i to się paliło. Jak nas zostawili w tym wagonie, pociąg poszedł, lejtenant przychodzi i mówi, że do najbliższej posiadłości jest 3 – 4 km, będziemy musieli tam przejść; – ”wszyscy jesteście letnio ubrani, i my, i wy. Trzeba będzie biec. Niech każdy rękawy odpruwa, zakłada na nogi,.. Tak zrobiliśmy, rzuciliśmy wagon i biegiem!

Jedna jedyna chata stoi, mała. Stukamy, otwierają nam, dowódca wskoczył, – ”wchodźcie!,, Wchodzimy; w sionce stoi koń, w mieszkaniu krowa,koza, świnia. W kotuchu (pod piecem) kury, gęsi. Na piecu ziarno się suszy, na ziarnie leży babcia. Cztery kąty, jeden pokój; gdzie się podziać? Klepisko. Ta gosposia mówi – ”Boże, gdzie my się pomieścimy? I bydło, i my?,, Dowódca mówi – ”mamy inne wyjście? Zamiast rozpacać, zechciejcie zrozumieć; żeby my przetrwali ten mróz,.. Wszyscy razem, razem z bydełkiem, jak Bóg przykazał: arka Noego.

Jakoś mróz zelzał na jutro, przyjechał samochód, ”pałuterka,, walonki przywieźli; zimne jak cholera, a jakie sztywne! Pierwszy raz ja walonki widziałem w życiu. Nałożyliśmy te walonki, niech w nich i będzie 3 stopnie mrozu, ale noga zaraz się rozgrzała i dopiero poczuliśmy ciepło! Przywieźli nas do Wielikiego Uściugu. Barak, okna powybijane, zimno, Matko Boża! Nawet nie zdążyli okien wstawić. Ale dali gorącej zupy, chleba pajkę, mrożonego... Chleb taki, że jakby bochenkiem dał w łeb, to by zabił; jak kamień biały.

Taki stołypin – przecież to jedno małe kupe (przedział), a tam do trzydziestu ludzi mogą wsadzić. I dadzą śledzia solonego i suchy chleb albo suchary. I jedz to. A jak pić? A jak do ubikacji chodzić? A ile pcheł – setki tysięcy. A pluskiew – Matko Boska! To strach nawet myśleć, jak stołypinami tymi się jeździło. Ci ludzie umierali. To naprawdę trzeba było być młodym i silnym, że przejść to i przetrwać, przeżyć.

Jak to się ten wrzód obozowy zbierał. Wiadomo było, że przecież ludzie nie mogą być w takich warunkach... Nam w piekarni chleb, który wypiekano dla nas, tawotem smarowano. Tawot to jest smar samochodowy. Jak brałeś ten chleb, to czuleś smród. Tłuszcz, który nam dawano, był jak świeca; on był tylko przydatny w ciepłej potrawie, bo w zimnej jak lód, jak kra się robił, i smak miał też świecy. Ludzie nie mieli nic, zupełnie nic. Mieli głód, chłód, ubóstwo. A ten, kto cokolwiek miał w kaptiorce, jak Sołżenicyn pisze... To oddzielny temat o tych kaptiorkach.

Jak ludzie zaglądną w oczy jeden drugiemu... Co z ludzi można zrobić...Taki profesor Kasz i Moguń z Kojiowa. Jak się gotuje kaszę, zawsze jest przypalony kozuch na dole. Odkrobują to specjalnymi skrobakami; to jest na wpół spalone, a z wierzchu jest trochę kaszy. Wyrzucają to na śmietnik, i wrony dziobią. A profesor jeden i drugi, Kasz i Moguń – to dystrofia – [odpędzali wrony] – ”kysz! Nigdy za wami nie nadążysz! Zawsze wy pierwsze!,, A wrony ”krr!

krk!,, na niego i dziobami... Chwyci kawał [tej spalenizny], łyżką skrobie z tego [resztki kaszy]... Człowiek zapomina, że jest człowiekiem. Staje się jakimś takim bydlęciem.

Ja np. rano, kiedy wychodziłem, sobie na śniadanie miałem trzy kilki (takie malutkie rybki). Jak dostałem jeszcze menzurkę — 20 miligramów tranu, nałalem na to, to miałem p y s z n e śniadanie. Nigdy nie zaglądałem nikomu w oczy, że bu mi ktoś cokolwiek dał. Nigdy jednej paczki nie dostałem. Nigdy nic nie dostałem. Ja z a w s z e byłem syty, nawet będąc głodny. Tak się przyuczyłem, że będąc głodny, też jestem syty. Bo nigdy nie myślałem; dla mnie te rzeczy były po prostu bez wartości. Ale to trzeba mieć wolę swoją, żeby umieć tak zrobić, przykazać sobie.

Jak człowiek czuje się np. w więzieniu. Bo w zonie to można sobie dowolnie — idąc po drodze do ubikacji, tam czy owam ugryźć i rzuć. Ale jest się w więzieniu — np. ja siedziałem w Mińsku. Tam siedziało paru miejscowych i dostawali paczki. Raz na tydzień, dwa razy na tydzień czasami. Więc jest posiłek gorący dla niego i jest tam kawałek słoniny, tego, co tam było. Człowiek głodny — mało, że głodny, ale chłodny. Ja miałem na sobie tylko marynarkę. Cement. Czy mam tą marynarkę położyć pod siebie, czy na siebie? Jest zimno. To jest problem pierwszy. Po drugie — kiedy zimno, organizm potrzebuje ciepła, przerobu jakiegoś; a tu nie ma nic. Jest malutka pajeczka chlebka i zupka "bałanda,,, do niczego. Czym ja się mogę rozgrzać wewnątrz? Dwie strony. Ty siedzisz i patrzysz, że on je. A jak on ma jeść, kiedy siedzą i patrzą na niego?! Ja nauczyłem siebie od razu: nie widzieć nikogo. Ten człowiek, który raz się podda, kto raz złamie się — koniec z nim. Wszystkiego można się nauczyć. Można być zupełnie głodnym, ale będziesz o wiele syty, jeżeli nie będziesz patrzył.

Tak my z Januszem Budyłowiczem rozmawialiśmy niedawno, on też trochę ma tych przeżyć. Mówię — "ile to wysiłku trzeba mieć, żeby być głodnym i nie patrzeć na tego, kto je., On na to — "cholera, żeś ty mnie przypomniał! Ja wiem, ile to trzeba...,

Kto nie miał siły woli w sobie — właśnie dochodziło do tego. Operupełnomoczny takiego głodnego wołał do siebie i mówił — "wot, tiebie, bochenek chleba; bieri! Dawaj, bumaga, piszy!,, Tytoniu mu da. I co ten ma człowiek robić?

Na wszystkim się spekuluje, a tam szczególnie. Jak byłem na śledztwie, to spotkałem takiego pana kapitana. On mówi — "możesz sobie gadać, nie gadać; i tak będziesz musiał się przyznać, będziesz siedział. Nawet, jak się nie przyznasz, będziesz siedział. Po pierwsze — śledczy, który prowadzi twoje śledztwo, nie może okazać się gamoniem. Jeżeli on nie potrafi udowodnić tobie przestępstwa, to jest dureń! Taki nie może być śledczym, wygonią go. Więc będzie imał się wszystkich środków, żeby tobie udowodnić. Zechciej to zrozumieć. Ty i tak będziesz siedział. Bo przecież nie musisz dostać wyroku; możesz dostać OSO. OSO podpisane in blanco, dwa, trzy in blanco leży w twoich aktach. Wystarczy — twoje 5 lat się kończy, on wyjmuje nowe, in blanco podpisane, i wpisuje: piat' let, Wysocki Gienrych. I położył znowu., Koniec! Tu n i e m a ratunku. On mi mówi po prostu — "chłopie! Ty młody. Jeszcze jesteś zdrowy. Uciekaj stąd! Jeżeli tu zostaniesz — kto wie, co z tobą będzie. Szanuj zdrowie, idź do obozu. Może jakoś tam sobie będziesz...,

Godzina piąta. Otwiera się walczyk (judasz). —"Na bukwu W!., Kto ma literę W w nazwisku, to podchodzi. —"Prigotowsia!., No to się prigatowił. Otwiera się rygiel, wychodzisz na korytarz. [...] Samochód — woron. Wiozą cię do domu prawitielstwa — w Mińsku w domu prawitielstwa prowadzili śledztwo. Długi korytarz i takie żelazne szafki, jak w szatni. Mają dziereczki, gdzie nos — oddychasz. mnie się zdaje, że to nie było dla ludzi przygotowane; po prostu improwizacja. Człowiek albo sam wszedł, albo go wcisnęli. Żelazne drzwi zamknęli i teraz tak wisiałeś; ani ręką ruszyć, ani podrapać się. Ile godzin można tak stać? Mogłeś nogi podnieść do góry, to i tak byś wisiał, bo nie mieścisz się. I czasami cię zawołają, a czasami po prostu cię "rozrzedzają,, Śledczy napisze, żeby cię przywozili każdy wieczór, a rano zabierać. I ty przez całą noc tkwisz w tej szafie. A jeżeli zabraknie powietrza? A jeżeli człowiek starszy trochę? To dobrze, że ja byłem jak byk; a gdyby nie? Śmierć — umrzesz śmiercią naturalną. Dlatego on mnie od razu powiedział —"uciakaj stąd, ratuj swoje życie, dopokąd masz możliwość, masz zdrowie.,,

Oni mają różne sposoby. I imali się tych sposobów; wcale się nie wstydzili, nie krępowali się.

W czasie okupacji uczyłem się fryzjerstwa; brat mnie starszy oddał do zawodu, żebym się nie szwendał. Przyjechałem do Orszy z tego Mińska. Tam są domy z cegły — baraki, i bardzo złe warunki w barakach. Jechałem z facetem, który był już w Orszy; mówił mi, żebym powiedział, że jestem fryzjerem, to mnie zabiorą, bo zawsze potrzeba. To był anioł, który mi podpowiedział. Przyjeżdżam; przy bramie stoi oficer i przyjmuje twoje akta, od razu —"familia?., Mówisz rok urodzenia, artykuł, z jakiego paragrafu siedzisz, ile lat. —"Przechodź!., I on te akta kładzie już do zony. "Ty nasz,,. Jak raz on wziął akta i mówi —"parikmacher?., Ja mówię "da,,. —"Prachadzi!., I akta już oddzielnie zupełnie położył. Krzyczy —"Kostia!., Idzi siuda!" Saninspektor był Kostia; podchodzi —„zabieri jewo!" Przyprowadził mnie do zakładu fryzjerskiego, posadził człowieka i mówi —„podstrzyż go!" Widzi, że ja prawdziwy jestem fryzjer, strzygę tak, jak się należy. — „Ty w bannu nie pajdziosz, będziesz tu, w zakładzie." Nie mieli fryzjera.

Tam naczelnikiem obozu był Bilan, a zastępcą jego Pietrow. Pietrow był gruby, ponoć był kiedyś pilotem, a Bilan był chudy, wysoki i kulawy. On był taki skubaniec, że złodzieje wydali wyrok na niego na Białomor—kanale. Nie mieli czym, to łopata chcieli go zarąbać; specjalnie naostrzyli łopate. Silny wiatr zniósł łopate — nie w głowę, tylko piętę mu urąbali. I on kulał.

Jak raz Bilan przychodzi; Kostia mówi —„grażdanin naczalnik, mamy fryzjera prawdziwego". —„To dawaj! Pobryt!" Patrzę; jego taka broda chamska, tam nie ma czym golić. Naostrzyłem brzytwę, zrobiłem wszystko, kompres na gorąco. —„No, to dobrze teraz". Ale to mnie uratowało.

Orsza była zupełnie rozbita, ludzie mieszkali w ziemiankach. Do łaźni przychodzili do przesylnego punktu; tam się kąpali wolni wszyscy. Ja po tych wyżywieniach sowieckich, po przeżyciach, nerwach, dostałem tam zapalenia ściany kiszek. Dobry mój znajomy, lekarz Szaduwow, chciał mnie wziąć do sangaradka, ale powiedział, że ja i tak umrę, nie wyjdę z tego. Nie poszedłem do szpitala; skoro mam umrzeć, jaka różnica. Poprosiłem tylko, żeby

powiedział kucharzom, że jak gotują kaszę, ryżową czy gryczaną, to żeby mnie dali tego kleiku [od gotowania]. On był głównym lekarzem, to miał tam coś do powiedzenia. To dietetyczna kuchnia, tylko dla szpitala. Oni mi zawsze nalali rano kubeczek i wieczorem kubeczek. Ja tylko to jadłem. Byłem chudy, jak pluskwa. Ale tym zaleczyłem cały żołądek. Pewnego dnia czułem, że mnie to przechodzi. Musiałem się wysilić, bo by mnie oddali do celi, golilem, ciężko strasznie mi było. Przeszło trochę czasu, przeszła mnie choroba. Tylko się wyleczyłem, to od razu mnie na etap, do Wołogodskiej, pajechał!

* * *